# MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 15. WARSZAWA, 14 KWIETNIA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

# ZAPOWIEDŹ INNYCH CZASÓW

„MOIM ŚWIĘTYM obowiązkiem jako Polaka jest dbać o to, żeby Polacy w Polsce mieli chleb, mieli mieszkania, mieli kulturę, mieli teatr...” — oto stanowcze słowa przywódcy narodowej Łodzi, Kazimierza Kowalskiego wypowiedziane na jednem z ostatnich posiedzeń Rady Miejskiej. Ten głos, z terenu bezkompromisowej walki, oświadczający, że tysiączne rzesze łódzkich robotników walczą nie tylko o potrzeby materjalne, ale i o zaspokojenie potrzeb ducha, świadczy w sposób dobitny o kierunku, w jakim dąży odrodzony ruch narodowy. Zdajemy sobie dzisiaj wszyscy sprawę z tego, że Obóz Narodowy, w swojej obecnej formie, nie jest już organizacją o charakterze dawnych partyj, zacieśniających swój krąg widzenia do t. zw. spraw czysto politycznych, ale staje się ruchem docierającym do każdego przejawu życia narodowego.

Wysiłek obozu narodowego nie idzie dzisiaj na tuzinkowe rozgrywki o takie lub inne, mniej lub więcej drobne posunięcia taktyczne. Wiedząc, iż wchodzimy w okres wielkiego przewrotu, staramy się schwycić jego ster i wszelkie nadchodzące zmiany skierować ku pożytkowi narodu. Rozpoczyna się wielkie zmaganie o cywilizację i ono to jest istotą naszej walki. Zdecydowanym ruchem odrzucamy wszystko, co niszczy i zakaża nasze instynkty, wyrosłe z pradawnego organizmu narodowego, a wykształcone przez katolicyzm i kulturę rzymską. Stąd wypływa owa negacja wobec starego już dzisiaj, materjalistycznego porządku, stąd odraza i wstręt do pionierów tego porządku — żydostwa.

Wślad za negacją idzie myśl pozytywna. Jeśli zwalczamy materjalistyczny porządek, czy to w jego formie zachodniej, wyobrażonej w postaci zwyrodniałego liberalizmu gospodarczego, czy w jego postaci wschodniej — komunizmie, na to miejsce rzucamy konkretny program uzdrowienia zasad gospodarowania, wołając o należne miejsce dla moralności, którą w ekonomice uznano już za coś zupełnie zbędnego, a nawet poprostu—śmiesznego. Jeżeli odrzucamy dziewiętnastowieczny światopogląd, będący nielogiczną mieszaniną rozmaitego rodzaju pojęć, nanoszonych od czasów rozkładu średniowiecznych zasad współżycia aż po dzień dzisiejszy, to przeciwstawiamy mu swój nowy, a raczej z powrotem do głosu przywrócony system odwiecznych zasad.

Konieczność powszechnego jego głoszenia, zmusza do formułowań. Są one oględne w słowach i dalekie od doktrynerskich mędrkowań. Jednem z tych sformułowań jest deklaracja, złożona w łódzkiej Radzie Miejskiej przez mec. Kowalskiego, a będąca pierwszem niejako oficjalnem ujęciem stosunku ruchu narodowego do sztuki. Stanowi więc dokument. W treści swej nie pławi się w steku frazesów, jest krótka i zwięzła, konkretna, bo na konkretnych oparta faktach.

Przytoczymy ją w całości:



„Wobec usiłowań przeszkodzenia Obozowi Narodowemu w Łodzi w jego poczynaniach, zdążających do pchnięcia kulturalnego życia miasta na nowe tory i zdając sobie sprawę, iż Łódź jest jednym z odcinków wielkiej walki o cywilizację narodową, radni Obozu Narodowego oświadczają, co następuje:

1) Przeciwstawiając się tendencjom, dążącym do zmniejszenia znaczenia nagrody naukowej, literackiej i plastycznej przez jej rozdrabnianie, chcemy, aby stała się ona istotną nagrodą prawdziwych wartości, godną wielkiego miasta.

2) Przez nakaz przyznawania jej twórcom, wyszłym z kultury narodu, zrywamy ze stanowiskiem indywidualistycznem, widząc wartość w mocnym związku z Narodem i jego cywilizacją. Zabezpieczamy w ten sposób miasto przed nagradzaniem poetów obcych, będących produktem snobistyczno - salonowo - żydowskiej atmosfery, nic nie mającej wspólnego z twardem, robotniczem życiem pracującej Łodzi.

3) Odmawiając subsydjów na Wolną Wszechnicę, protestujemy przeciw niskiemu poziomowi tej uczelni i obecnemu duchowi, który w niej panuje, zaznaczając tem samem, iż produkcja bezideowej i skazanej na bezrobocie inteligencji jest szkodliwa dla kultury, a o pozycji w Narodzie nie decyduje jedynie stopień wykształcenia, lecz także i inne wartości.

4) Skreślając sumę 59 tysięcy złotych z subsydjum dla Teatru Miejskiego, uczyniliśmy to świadomie i celowo, nie mamy bowiem prawa moralnego pieniędzy, wpłacanych przez ubogą ludność polską, przeznaczać na instytucję, schlebiającą gustom kapitalistycznego żydostwa, zapewniając natomiast, przez pozostawienie subsydjum w kwocie 120 tysięcy złotych temuż teatrowi środki na opłacenie lokalu, światła i personelu technicznego, dajemy mu pełną możność stania się placówką wartościową w służbie kultury narodowej.

5) Sumę skreśloną przeznaczyliśmy na teatr popularny, popierany dotąd niemal wyłącznie przez ubogą ludność robotniczą, borykający się z ciężkiemi warunkami pracy, wobec przyznawania mu przez miasto datku, wynoszącego donniedawna zaledwie 6.500 złotych. Umożliwiamy tem samem podniesienie jego poziomu, stwarzając w ten sposób nową placówkę kulturalną, dostępną dla najszerszych mas.

6) Sum przeznaczanych na instytucje kulturalne nie cofamy, a pozostawiając w budżecie sumę 8.000 złotych dla Instytutu Propagandy Sztuki, stawiamy mu jednocześnie warunek, aby nie był ostoją bezdusznego akademizmu i konwencjonalnych kierunków, ale instytucją, służącą Sztuce żywej, w ten bowiem tylko sposób pomnażać może wartości kultury polskiej.

7) Będziemy dążyli do powiększenia bogactwa duchowego Narodu przez ustanowienie stałych stypendjów dla synów robotników — Polaków, kształcących się w sztuce.

Narodowa Łódź za pośrednictwem swoich przedstawicieli w Radzie Miejskiej wzywa całe społeczeństwo polskie do współpracy w wielkiem dziele przebudowy życia kulturalnego i oczyszczenia go z obcych, niszczycielskich elementów.

Idea narodowa nie pozwala na ograniczanie Sztuki do ciasnych ram jakiegokolwiek kierunku. Każdy przejaw sztuki, poczętej z instynktu narodowego, pomnaża wartości cywilizacji. Przystępując do pracy nad budową nowego życia wiecznej i wielkiej Polski, Obóz Narodowy pragnie mieć sztukę żywą, twórczą i wielką, będzie przeto zwalczać tandetę, konwencję i bezduszną rutynę.

Wzywamy całe młode pokolenie artystyczne Polski, aby stanęło z nami do pracy nad budową nowych form życia, zetknęło się z niemi i porzuciło doktrynerskie metody zestarzałego marksizmu, będącego dziś w służbie imperjalizmu rosyjskiego.

Jutro należy do nas!

Niech żyje Wielka Polska!“

Deklaracja, jak widzimy, kategoryczna, już od pierwszych zdań. Słowa: „Wobec usiłowań przeszkodzenia Obozowi Narodowemu...” mają swoją wymowę. Cała bowiem prasa żydowska, służąca żydom lub wreszcie oportunistycznie względem nich usposobiona, wszczęła ostatniemi czasy oszczerczą kampanję, wskazując na „barbarzyńskie posunięcia” i t. d. Wyżej przytoczony dokument mówi spokojnie, ale dobitnie. Jest odpowiedzią zupełnie wyczerpującą.

Punkt 2-gi deklaracji jest również wyraźny. Bardzo pouczające było znaleźć się na posiedzeniu Rady Miejskiej, na którem uchwalono regulamin nagrody i posłuchać licznych przemówień żydowskich!... Toż ta obrona kultury, wygłaszana tandetną i wysoce niechlujną polszczyzną, jaskrawo klasyfikuje ów prasowy, bliźniaczy jej wrzask, o którym wyżej wspomniałem. W gatunku swym nic a nic się nie różni od przemówień rozmaitych radnych Holenderskich i im podobnych.

Inny fragment zebrania. Przedstawiciel socjalistów składa wniosek, ażeby nagroda literacka Łodzi przyznawana była za dzieła o charakterze klasowym. Trzydziestu robotników, zasiadających w Klubie Narodowym, odrzuca ten wniosek. Wywołuje to okrzyk z ław socjalistycznych: „Nagradzane będą salonowe sztuczki!” Tymczasem przypatrzmy się: — kto był laureatem Łodzi za czasów czerwonych rządów? Przedstawiciel typowo „salonowej“(swoistego, coprawda, gatunku) sztuki— Tuwim. To też wślad za odrzuconym wnioskiem socjalistycznym idą słowa deklaracji (c. d. punktu 2-go): „...zabezpieczamy w ten sposób miasto przed nagradzaniem poetów obcych, będących produktem snobistyczno-salonowo-żydowskiej atmosfery, nic nie mającej wspólnego z twardem, robotniczem życiem pracującej Łodzi”. A dalej cały punkt czwarty, a dalej punkt piąty, siódmy.

Nie będziemy wchodzili w dalsze szczegóły. Każde tu słowo krzyczy radością tworzenia nowego okresu naszego życia.

Łódź, miasto wyrosłe z przypadku, Łódź o setkach wąskich, brudnych, szarych ulic, podobnych do siebie, okaz najdziwaczniejszej architektury dziewiętnastowiecznej, miasto lasu kominów, zatruwających piersi czarnym dymem, miasto — potworny wytwór materjalistycznej, obłędnej pogoni za pieniądzem, okaz w swych „sferach górnych” kapitalistycznej moralności, ocknęło się pierwsze.

Dzisiaj warsztaty stoją bez ruch, a jednak tysiące robotników łódzkich pracują, wytwarzając nowy produkt — entuzjazm, karm dla całego narodu. Czujemy wszyscy, że stamtąd idzie zapowiedź nowych czasów, i pierwsza próba ich realizacji.

B.

# SZLACHTA JEROZOLIMSKA

UKAZAŁA się w druku niewielka a bardzo pożyteczna broszura p. t. „Zmienianie nazwisk“. Autor — p. Kazimierz Snopek zgromadził w niej wszystkie polskie i z polska lub z aryjska brzmiące nazwiska, które od czasu odbudowania państwa polskiego żydzi w ministerjum spraw wewnętrznych sobie zakupili (Kazimierz Snopek: „Zmienianie nazwisk“, Warszawa 1935, Skład główny w Domu Książki Polskiej, stronic 99). Broszura opracowana z sumiennością, na jaką tylko można się było zdobyć w oparciu o materjał „Monitora Polskiego“, którego ogłoszenia, o czem autor wspomina, nie podają takich wiadomości osobistych, jak wyznanie, zawód i t. p., co powiększyłoby wartość informacyjną spisu, w broszurze podanego. A spis ten zawiera około siedmiuset nazwisk, ułożonych we dwa ciągi abecadłowe: jeden według nazwisk nowonabytych, drugi według nazwisk żydowskich — wyzbytych.

Oba ciągi spisu poprzedza wstęp rozumowany, w którym autor omawia pokrótce wagę takiego zjawiska, jak masowa zmiana żydowskich nazwisk na polskie, ogólnikową ruchu tego historję w Polsce od wieku XVIII, ustawy w sprawie tej obowiązujące, a wreszcie dodaje trochę spostrzeżeń oraz obywatelską przepojonych troską uwag praktycznych. Rzeczowy, prosty, jasny wstęp, jak również całość w układzie swoim i opracowaniu czynią wrażenie pracy rzetelnej. Strona graficzna także jasna, czysta i miła. Ze względów praktycznych broszura przyda się wielu sferom społeczeństwa polskiego, kierując jednocześnie ich uwagę na cichy zalew pokojowy, który żydostwem miasta polskie zatapia. Nabywanie nazwisk polskich ogromnie żydom ten zalew ułatwia, pomnażając i tak już liczną w społeczeństwie polskiem warstwę tak zwanej „szlachty jerozolimskiej”.

Jak liczna w Polsce jest owa szlachta jerozolimska, tego dotychczas nikt mi nie umiał z dostateczną pewnością określić. Domysły wahają się w granicach od dziesięciu do pięćdziesięciu tysięcy głów, wliczając w to zarówno frankistów, jak mechesów czyli mieszańców, oraz wszelkich późniejszych kryptożydów aż do tych, których spis podaje wspomniana broszura p. Snopka. Chodzi tu, oczywiście, nie o liczbowy przekrój historyczny, ale o liczbę żyjących w chwili obecnej mieszańców i żydów, którzy udają Polaków. Jest rzeczą bardzo dla sprawy polskiej pożądaną, żeby znalazł się ktoś, odpowiednie dane w wiedzy swojej posiadający, ktoby rozumowany swój pogląd na liczebność szlachty jerozolimskiej ogłosił. Jeśli jednak przyjmiemy tymczasem liczbę z podawanych najmniejszą, t. j. dziesięć tysięcy, to już będziemy mieli do czynienia z przysłowiowemi „dziesięcioma górnemi tysiącami“, których wystarczy dla pochwycenia władzy nad społeczeństwem, wiadomo bowiem, że szlachta jerozolimska obraca się tylko w granicach polskiej warstwy oświeconej.

Słynny Frank nie mylił się, gdy mówił do swoich, że „szlachta polska jest poczciwa i głupia, czego nam (żydom) właśnie potrzeba”. Szlachta owa, otumaniona przez prowokację Franka, pozwoliła na chrzest kilkuset żydów, zwolenników tego oszusta, a nadto jeszcze dała im nazwiska swoje i herby. Głupotę szlachty polskiej jeszcze bardziej uwydatnia ta okoliczność, że przecie fanatycznie walczyła ona przeciw nobilitacji chłopów, oraz mieszczaństwa polskiego. Milszy jej i dostojniejszy był żyd parszywy, aniżeli szlachetny człowiek, z własnego jej pnia rasowego pochodzący. Uszlachcona banda frankistów — to był pierwszy, na wielką zrobiony „koń trojański”, w Polsce umieszczony, był to pierwszy celowy a prowokacyjny, masowy zalew żydów, którzy udawali Polaków.

Następnym masowym zastrzykiem żydowskim, pod skórę społeczeństwa polskiego umiejętnie wlanym, był po powstaniu styczniowem okres pozytywizmu warszawskiego i związanego z nim prądu masowej „asymilacji” żydów. I tu zupełna w sprawach rasy narodu ciemnota społeczeństwa polskiego, w dalszym ciągu szlacheckiego, stanowiła również idealną pożywkę dla szajki światowych oszustów i prowokatorów. Wspomagana przez dawną, zasiedzianą wśród szlachty polskiej gromadę frankistów, nowa gromada asymilantów nie miała już nawet potrzeby zmieniać nazwisk na polskie ani herbów przybierać: rzeczy te w owym czasie straciły wartość, a nawet — z uwagi na potężnych zaborców — były dla żydów niepożądane. Łatwiej tu było wtedy kręcić się Kronenbergom niż Górkorońskim.

Trzecim masowym zastrzykiem żydów, gwałtownie w polski organizm wtłoczonym, był już po wojnie światowej dokonany najazd żydów na kulturę narodu i administrację państwa polskiego. Jest to właśnie ten zastrzyk, którego część ujawnia w szeregu siedmiuset nazwisk wspomniana tu na wstępie broszura p. Kazimierza Snopka. Symbolicznym, bo wielce hałaśliwym frontem tej trzeciej gromady żydowskiej jest literacko-artystyczna grupa osławionego „Skamandra“ i jego potomstwa — „Wiadomości Literackich“. Wielu żydów z tego trzeciego zastrzyku przybiera sobie nazwiska polskie, bo one znowu znakomicie w cenie zyskały. W odbudowanem państwie polskiem łatwiej kręcić się Pomirowskim, aniżeli Pomperem.

Zauważmy, że każdy z tych trzech masowych zastrzyków dokonany był w chwili rozkładu, lub wielkiego osłabienia, albo wielkiego chaosu, któremi los w owych właśnie okresach Polskę doświadczał. Ze strony polskiej w dziele tem żydzi korzystają z pilnej pomocy masonerji, liberalizmu i socjalizmu — tych tworów ducha żydowskiego i żydowskiego względem narodów rdzennych imperjalizmu. Rzecz prosta, że pomiędzy pierwszym a drugim, oraz drugim a trzecim zalewem żydowskim nie ustawało przenikanie poszczególnych żydów do wnętrza społeczeństwa polskiego. Żyd pojedyńczy, wstępując na ten obcy sobie teren, miał wystarczające oparcie i poparcie ze strony wielkiej gromady rodaków swoich, którzy już otrzaskali się ze sztuką udawania Polaków i mieli w pewnych sferach stosunki wyrobione. Zważywszy, że każda z tych gromad, po zagospodarowaniu się w łonie społeczeństwa polskiego przystępowała natychmiast do gwałtownego rozradzania się, obecną liczbę kryptożydów conajmniej na dziesięć tysięcy ustalić można. Z uwagi, że obracają się oni wyłącznie wśród polskich warstw oświeconych, które nawet

w górnych sferach socjalizmu są szlacheckie, słusznie utarło się w Polsce nazywanie tej gromady żydów — szlachtą jerozolimską.

Tajne rządy żydowskie dawno już obrały Polskę na teren pokojowego najazdu i osiedlenia głównej masy narodu żydowskiego. Dla uskutecznienia tego dzieła konieczne jest bezustanne osłabianie narodu rdzennego, a to znów nie dałoby się w ciągłości utrzymywać bez przenikania żydów do samego wnętrza i duszy narodu, na pożywkę upatrzonego. Do tej właśnie „delikatnej" roboty przeznaczone są owe zastępy szlachty jerozolimskiej. Dla tem głębszego zaś wżerania się w naród i aż do rdzenia narodu najechanego szlachta owa zawiera z „tuziemcami" możliwie najliczniej związki małżeńskie, z czego powstaje warstwa mieszańców, „mechesami" w Polsce nazywanych. Jest to ta sama szlachta jerozolimska, ale jeszcze złośliwsza i szkodliwsza, bo względem Polski prawa krwi za sobą czująca. Ale ta ich krew jest tak żydostwem zakażona, że dla ducha polskiego staje się czynnikiem bardziej częstokroć od czystej krwi żydowskiej rozkładowym.

Biada narodowi, w którego wnętrzu rozsiądzie się, a potrzykroć biada, gdy w nim władzę w ręce swoje pochwyci szlachta jerozolimska. Jako w obcym kraju żyjąca, jest ona w najwyższym stopniu między sobą solidarna, ma poparcie ze strony żydostwa całego świata, a w rękach takie narzędzia posłuszne, jak socjalizm i masonerja. Gdy przeto w jakim kraju dochodzi do władzy, w krótkim czasie opanowuje najważniejsze dziedziny życia, oraz najczulsze ich nerwy w postaci placówek i stanowisk w administracji, w policji, w wojsku, w sądownictwie, w szkolnictwie, w literaturze i sztuce. Podległa owej szlachcie prasa codnia naganki odpowiednie, hałasy i nastroje czyni, i oto po latach niewielu życie danego kraju zostaje całkowicie odwrócone, sfałszowane, zepsute, a co jeszcze zdrowie zachowało, to nędzą i terrorem stłumione i przydeptane.

Każdy teraz kraj na świecie broni się przeciw najazdowi żydowskiemu, tembardziej więc musi bronić się i Polska, do której żydostwo z całego świata spływ sobie przekopuje, a już i tak ma tu ono zbiornik swój czteromiljonowy. Witajmy zatem przychylnie i popierajmy takie, jak broszura p. Snopka, prace, wielką wytrwałością dokonywane, i z całym objektywizmem postępy zażydzania kraju fotografujące. Wytrwałość... rzadka to u Polaków zaleta, a tylko przy jej pomocy zdołamy naród od najazdu żydowskiego ocalić.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

# O „DOBREJ SZLACHCIE"

PEWNA lekkomyślność, właściwa naszemu charakterowi narodowemu, sprawia, że często mają w naszem społeczeństwie obieg różne pogłoski, podawane jako pewniki, lecz nie mające na swe uzasadnienie ani cienia jakichkolwiek dowodów. Ilekroć się z pogłoską taką spotykam — zawsze wywołuje to we mnie irytację; uważam, że w każdym takim wypadku obowiązkiem nietylko tych, co pogłoskę powtarzają, ale i społeczeństwa, jako zbiorowości, jest pogłoskę tę sprawdzić i albo uznać ją za fakt prawdziwy, albo też uznać ją za fałsz.

Z podobnemi uczuciami odniosłem się do sprawy, która stała się przed paru miesiącami głośna dzięki poruszeniu jej przez p. Miedzińskiego z trybuny sejmowej.

Drogą bezimienną rzucona została pogłoska, że rodzina, odgrywająca dziś sporą rolę w życiu publicznem polskiem, mianowicie rodzina pp. Kozłowskich, jest pochodzenia żydowskiego, że protoplasta tej rodziny nazywał się Uszer Brunner.

Pogłoska ta obiegała po Warszawie w sposób bardzo uporczywy.

Na pogłoskę tę odpowiedział z trybuny sejmowej p. Miedziński, oświadczając, że jest to fałsz i że rodzina Kozłowskich jest dobrą, starą szlachtą ziemi Miechowskiej.

Oświadczenie to nie obaliło pogłoski, która wbrew temu oświadczeniu kursowała nadal.

Budziło to we mnie pewien niesmak. Uważam z jednej strony, że nie jest rzeczą dopuszczalną, aby uchodziła za „dobrą szlachtę" rodzina, która nią nie jest; nikomu ujmy nie przynosi, że nie jest szlachcicem, a nawet, że nie jest czystej krwi Polakiem, ale nie godzi się uchodzić za coś, czem się nie jest; jeśli istnieją co do pochodzenia danej rodziny jakieś wątpliwości — uważam, że należy sprawę zbadać i gołosłowne twierdzenia poprzeć dowodami. Z drugiej znów strony sądzę, że jeśli pogłoska jest fałszywa — w takim razie należy ją raz na zawsze sprostować; czy się kogoś uważa za przeciwnika politycznego, czy też nie, nie należy czynić mu zarzutów, nie opartych na rzeczywistych faktach; jeśli się rodzinę autentycznej szlachty polskiej pomawia o pochodzenie żydowskie, to bez względu na to, czy rodzina ta usposobiona jest antysemicko, czy filosemicko, wyrządza się jej moralną krzywdę, która winna być naprawiona.

Zajęcie się podobną sprawą należy do historyków. Ale ponieważ nie wiem, czy się który z historyków nią zajął, więc, posiadając żyłkę do dociekań historycznych, postanowiłem przeprowadzić w tej sprawie dochodzenie sam.

Dochodzenie to nie przyniosło — być może, dzięki mej nieudolności badawczej — odpowiedzi ostatecznej na postawione pytanie. Przyniosło jednak szereg faktów interesujących, oraz możność wyciągnięcia pewnych wniosków prowizorycznych, z któremi, uważam, należy społeczeństwo zapoznać.

Oto wyniki tego dochodzenia:

1) Zacząłem od pobieżnego przepytania się wśród osób, mających stosunki w Miechowskiem. Natknąłem się odrazu na inny warjant pogłoski, wspomnianej wyżej, mianowicie na wiadomość, że ktoś, gdzieś, kiedyś widział dokument, z pierwszej połowy XIX wieku, z którego wynikało, że pradziad obecnie żyjącego pokolenia był żydem, który współcześnie kupił sobie szlachectwo. Mimo

różnorodnych usiłowań, nie zdołałem do źródła tej pogłoski dotrzeć, może więc ona być prawdziwa, lub fałszywa.

2) Równocześnie niemal zapoznałem się z danemi, zawartemi w XII tomie, (str. 106 i następne) „Herbarza Polskiego", Bonieckiego, (Warszawa, 1908). Genealogja rodziny Kozłowskich podana jest tam niezwykle wyczerpująco. Z pedanterja, ani w tym herbarzu, ani w innych niespotykaną, przy każdem nazwisku podane są parafje, w których można znaleść metryki, oraz informacje o wszelkich innych, udowodniających tę genealogję dokumentach. Jak z tej genealogji wynika, ojcem dziś żyjącego p. Leona Kozłowskiego był Stefan Rafał, tego znów ojcem Romuald Leon, tego znów ojcem Ludwik Józef Jan Kanty, tego znów ojcem Grzegorz, a tego wreszcie Jacek (zmarły w r. 1730).

Po przeczytaniu tej genealogji byłbym uznał sprawę za przesądzoną w sensie potwierdzającym zdanie p. Miedzińskiego, gdyby nie wzmianka, dotycząca Ludwika Józefa Jana Kantego, a więc właśnie pradziada obecnie żyjącego pokolenia, któremu pogłoska zarzuca kupienie sobie szlachectwa. Wzmianka ta brzmi: „W 1840 r. legitymował się ze szlachectwa w Królestwie Polskiem z herbu Wieże z odmianą, mimo, że ojciec jego i dziad pisali się Jastrzębcami". Jest rzeczą nieprawdopodobną, by się ktoś legitymował z innego herbu, niż swój własny. Przypuściwszy nawet omyłkę urzędu, który legitymację stwierdzał — jest rzeczą nieprawdopodobną, by zainteresowana rodzina nie postarała się o sprostowanie tej omyłki. W dodatku herb „z odmianą" wskazuje na świeżą nobilitację. Jak wynika z danych Bonieckiego, rodzina Kozłowskich uchodzi za potomków starożytnej i znanej rodziny Kozłowskich herbu Jastrzębiec.

Wobec tego postanowiłem badania kontynuować.

3) Zasięgnąłem informacji u szeregu osób w województwie kieleckiem. Wszystkie nieomal (poza paru wyjątkami) odpowiedzi brzmiały w sposób kategoryczny, że według tradycji miejscowej, rodzina Kozłowskich jest pochodzenia żydowskiego.

Zupełnie niezależnie od moich wywiadów, jeden z poważnych, zasługujących na zaufanie mieszkańców województwa kieleckiego napisał do redakcji „Gazety Warszawskiej" list, którego główne ustępy brzmią jak następuje:: „Poruszam kwestję, która już przebrzmiała, a która może być jeszcze aktualną. Na posiedzeniu sejmowem p. Miedziński, odpowiadając na interpelację w sprawie Berezy, oburzał się, jak można (jednego z członków wspomnianej rodziny) nazywać żydem... Otóż w Miechowskiem powszechnie wiadomo, że rodzina Kozłowskich jest żydowską. Być może, Kozłowscy uzyskali herb polski jako frankiści, — niewiadomo, w każdym razie wszystkim wiadomo, że to są żydzi z przymieszką krwi aryjskiej. Świadczy o tem najlepiej ich wygląd fizyczny i ich psychika... Trzeba stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że rodzina ta jest pochodzenia żydowskiego, że ma krew żydowską... Uważam za swój obowiązek uświadomić Szanownego Pana Redaktora o powyższym fakcie". Autor wymienia m. in. w liście kilka osób z tej rodziny, mających, jego zdaniem, fizyczny typ żydowski.

4) Zwróciłem się do parafji w Siewierzu, o nadesłanie mi metryki Ludwika Józefa Jana Kantego Kozłowskiego, syna Tomasza i Ewy z Muszyńskich, urodzonego w r. 1781. Metrykę tę otrzymałem. Autentyczność więc osoby tego imienia i nazwiska nie ulega wątpliwości.

5) Zwróciłem się do Archiwum Akt Dawnych w Warszawie przy ul. Jezuickiej, z prośbą o udostępnienie mi akt dawnej Heroldji Królestwa Polskiego z roku 1840-go, dotyczących legitymacji ze szlachectwa ś. p. Ludwika Józefa Jana Kantego Kozłowskiego.

Okazano mi wolumen akt heroldji, oznaczony numerem 4094 u góry i numerem 2859 u dołu.

Jak z tego wolumenu wynika, Ludwik Józef Jan Kanty Kozłowski złożył dn. 21 lipca 1838 roku podanie o stwierdzenie jego szlachectwa, przyczem powołał się na to, że jest synem Tomasza Kozłowskiego, herbu Jastrzębiec, właściciela wsi Zbrochy

Na podaniu tem zamieszczono adnotację urzędową następującej treści: „Po ścisłem porównaniu i sprawdzeniu niniejszych dowodów z dowodami wszystkich Kozłowskich, okazało się, co następuje: Jan Kozłowski przy podaniu sub. Nr. 1967 złożył ten sam główny dokument, jaki na niniejszym referacie jest zamieszczony, któremu Heroldja pod dn. 23 czerwca 1837 r. szlachectwo przyznała, z metryki tegoż płynie przekonanie, że był synem Tomasza, dziedzica dóbr Zbrochy i Barbary ze Zbrochów Kozłowskich, t. j. tego samego, o którym jest wzmianka w głównym dokumencie, zaś obecnie legitymujący się Ludwik Kozłowski, według złożonej przez siebie metryki, okazuje się, że jest synem Tomasza, pisarza Komory Królewskiej w Siewierzu i Ewy z Muszyńskich Kozłowskich zrodzony. Przeto jawnie wypływa przekonanie, że Ludwik Kozłowski chciał się tylko podszyć i przyczepić do innych, zupełnie mu niestosownych i niesłużących dowodów. W Warszawie d. 17 lutego (1 marca) 39". (Podpis nieczytelny). Członek Heroldji.

Wobec tego Heroldja na posiedzeniu z dn. 7/19 marca 1839 roku postanowiła podanie Ludwika Kozłowskiego załatwić odmownie.

Dnia 15 października 1839 roku Ludwik Kozłowski wniósł nowe podanie, w którem oświadczył, że jest synem Tomasza Kozłowskiego herbu Wieże z odmianą, pisarza komory królewskiej w Siewierzu. Równocześnie przedstawił metrykę, wystawioną przez parafję Św. Jana w Warszawie, z której wynika, że Tomasz Kozłowski, urodzony w r. 1756, był synem Łukasza i Łucji. Wreszcie przedstawił dyplom nobilitacji Łukasza Kozłowskiego przez króla Stanisława Augusta w dniu 6 grudnia 1764 r.

Powyższe podanie Heroldja postanowiła uwzględnić.

6) Dane, wydobyte z akt Heroldji, porównałem z danemi, zawartemi w herbarzu Bonieckiego. Według Bonieckiego, Tomasz Kozłowski, pisarz komory siewierskiej, urodził się w r. 1740 i był synem Grzegorza i Rozalji z Dziedzickich. Nie zgadza się to z dokumentami, złożonemi przez Ludwika w Heroldji, z których wynika, że Tomasz urodził się w 1756 roku i był synem Łukasza i Łucji.

7) Wreszcie przejrzałem spis pewnej liczby neofitów, zawarty w książce Teodora Jeske-Choiń-

skiego „Neofici polscy” (Warszawa 1905). Na stronicy 140 znalazłem tam informację o tem, że w roku 1839 ochrzcił się w Warszawie Karol Kozłowski (Uszer Brunner), szynkarz, lat 23, syn Herszka i Łai Brunnerów z Klementowic.

Z powyższych faktów pozwalam sobie wyciągnąć następujące wnioski:

1) Identyfikowanie Ludwika Józefa Jana Kantego Kozłowskiego z Karolem Kozłowskim *vel* Uszerem Brunnerem jest absolutnie bezpodstawne. Zachodzi tu różnica imienia. Zachodzi rażąca różnica wieku. Zachodzi wreszcie niemożliwość, by człowiek, ochrzczony w roku 1839, ubiegał się w r. 1838 o szlachectwo. Autorzy wersji o Uszerze Brunnerze, najwidoczniej pragnąc sprawdzić zasłyszaną pogłoskę o żydowskiem pochodzeniu wymienionej tu rodziny, ograniczyli się do przejrzenia spisów Jeske-Choińskiego i w sposób lekkomyślny, nie troszcząc się o dokładniejsze porównanie danych, uznali Uszera Brunnera za protoplastę głośnej dziś rodziny. Podobną metodę sprawdzania pogłosek, polegającą na zachwaszczaniu gruntu przez nowe, wyssane z palca i zaciemniające rzeczywistość wersje, należy stanowczo potępić.

2) Rodzina, o której mowa, nie pochodzi od Kozłowskich herbu Jastrzębiec. Stwierdziła to Heroldja, a Ludwik Kozłowski się z tem pogodził.

3) Rodzina ta nie pochodzi również od nobilitowanego w roku 1764 Łukasza Kozłowskiego herbu Wieże z odmianą. Wprawdzie Heroldja pochodzenie jej od wymienionej osoby uznała, ale nie jest to dostateczny dowód. Heroldja Królestwa Polskiego owej epoki znana jest z pobłażliwości w uznawaniu szlachectwa i z popełniania licznych, notorycznych błędów w tym względzie, to też zdanie jej nie może równoważyć znaczenia oczywistych, stwierdzonych przez nas faktów. Gdyby Ludwik Kozłowski był wnukiem Łukasza, to jest szlachcicem w trzeciem pokoleniu, z pewnością nie ubiegałby się o niezgodny z prawdą dowód, że pochodzi od Kozłowskich Jastrzębców, lecz od początku złożyłby dowody swego prawdziwego pochodzenia od Kozłowskich herbu Wieże z odmianą. Całe postępowanie Ludwika Kozłowskiego wobec Heroldji wskazuje, że na składanych przez niego dokumentach nie można z zupełnem zaufaniem polegać. Również zastanawiająca niezgodność danych, zawartych u Bonieckiego i w aktach Heroldji, dotyczących Tomasza Kozłowskiego, pisarza komory siewierskiej, wskazuje, że jest coś mętnego w okolicznościach, dotyczących pochodzenia Ludwika od niego. Ludwik Józef Jan Kanty, syn Tomasza, urodzony w Siewierzu, istniał rzeczywiście, jak to wynika z siewierskiej metryki. Ale dopóki ktoś nie udowodni czegoś przeciwnego, niepodobna przyjąć, by Ludwik Józef Jan Kanty, którym się zajmujemy, był z tamtym Ludwikiem Józefem Janem Kantym identyczny.

4) Kimże był on w takim razie? — Dopóki nikt tej rzeczy nie udowodnił dokumentami, stanąć trzeba na gruncie jedynej wskazówki, jaką w tej dziedzinie posiadamy, mianowicie na gruncie tradycji ustnej. Według tradycji tej, pradziad obecnie żyjącego pokolenia był wychrztą. — Ustna tradycja niema dla historyka wartości, jeśli przeczy dokumentom. Ale skoro dotyczy kwestji, której dokumenty nie wyjaśniają, należy uznać ją za historyczne źródło. Zwłaszcza, gdy dotyczy epoki niezbyt odległej (niecałe 100 lat), oraz posiada charakter tradycji lokalnej (t. j. ma źródło w Miechowskiem).

Gdyby tradycji tej nie było, a więc gdybyśmy nie mieli danych wogóle żadnych, trzebaby się zdać na domysły. Spróbujmy zobaczyć, jakby te domysły wyglądały. — Jest rzeczą dość dziwną owa, wynikająca z poprzednio przytoczonych danych, zbieżność dość skomplikowanych imion dwu różnych ludzi: Ludwik Józef Jan Kanty. Czy zbieżność ta mogła się zdarzyć przypadkowo? Oczywiście, że jest to możliwe, — ale nie jest to zbyt prawdopodobne. Prawdopodobniejsze jest, że nie ma ona przyczyny przypadkowej. Jakiż mógł być jej nieprzypadkowy powód? — Powody mogły być różne, ale najprawdopodobniej wyglądałoby przybranie sobie przez kogoś imion człowieka, z którym chciałby się on zidentyfikować. Mógł to uczynić tylko człowiek dorosły. A człowiek dorosły, który sobie wybiera imiona, t. j. który się chrzci, — to jest neofita. Tak więc możliwe domysły idą w tym samym kierunku, co dane miejscowej tradycji.

Dopóki nikt naszego wywodu mocniejszemi dowodami nie obali, musimy więc stanąć na stanowisku, że rodzina tu wspomniana jest pochodzenia żydowskiego.

JASTRZĘBIEC

# POWIEŚCI WYBRANOWSKIEGO

(Dokończenie)

NIE w budowie wewnętrznej ani zewnętrznej wszakże tkwi wartość dzieł Wybranowskiego. Opisy i deklamacje zastąpione są tu bardzo skromnemi i umiarkowanemi dygresjami moralnemi, myślami patrjotycznemi i refleksjami społecznemi. Obok nauki, buchającej całym żarem treści moralnej, z powieści Wybranowskiego wogóle, obok dyskretnie wyrażanego stanowiska autora wobec problemów, rozstrzygających się w akcji powieści, owe myśli i dygresje stanowią zawartość ideową utworów. A jest to zawartość nie do pogardzenia, dla tych zwłaszcza, dla których naczelnem jest społeczne zadanie literatury. Dla autora społeczna twórczość w narodzie jest najwyższym rodzajem działalności człowieka na ziemi. „Cała historja cywilizacji, od najdawniejszych do dzisiejszych czasów, to historja poszczególnych społeczeństw ludzkich, ich pracy dla swoich celów, ich walki o swoje cele”. O panowanie nad światem walczą dwie ideje społeczne: jedna otwarta i prosta — narodowa, druga zakłamana, pseudohumanitarna, w różnych odmianach ogólno-ludzka: „jednocześnie z dobroczynnym procesem dojrzewania samoistnej duszy ludzkiej, w cywilizacji europejskiej odbywa się proces inny, niebezpieczny — zrywania węzłów moralnych, łączących te dusze z narodem. Nie jest konieczno-

ścią, żeby ten drugi proces towarzyszył pierwszemu..."

Wybranowski chciałby, aby zwyciężyło to, co jest bliższe duszy: „My nie jesteśmy" — słowa „W połowie drogi" — „ludzie wolni. Nas wiąże ta wielka służba, wiąże tak mocno, że nie moglibyśmy się zdobyć nawet na wolę zrobienia czegoś ku krzywdzie tego pnia, z któregośmy wyrośli. Ci, którzy nam się przeciwstawiają, którzy nie żywią naszych uczuć, którzy za przesąd uważają to, co dla nas jest święte, którzy się podają za całkiem wolnych — ci ludzie kłamią: oni są związani z czemś innem, z czemś obcem, skuci kajdanami upokarzających uzależnień. Ja dumny jestem z tego, żem sługą swej ojczyzny, żem niewolnikiem przeszłych i przyszłych pokoleń swego narodu: czy oni mogą być dumni z tej obcej niewoli, w której pozostają?"

„Nasza niewola — to jedyna niewola, w której człowiek, mający poczucie swej godności, żyć może..." „Człowiek, który stoi sam, który się wyzwolił z wszelkich więzów, który sam dla siebie jest religją, prawem i prawdą, w jednej tylko dziedzinie może dojść do wielkości: może być wielkim zbrodniarzem..." „Niema człowieka bez społeczeństwa. Jednostka, świadomie czy nieświadomie, służy społeczeństwu..." „Na to, żeby istniał człowiek, żeby mógł żyć, musi istnieć społeczeństwo i musi bronić podstaw swego istnienia..."

W powieściach Wybranowskiego jest tak wielkie bogactwo charakterystyki cech narodowych Polaków, że podobnego trudno szukać nawet w dziełach specjalnych. Niech wolno będzie zacytować kilka przykładów: „Jeżeli się spotyka głębszą duszę, zawsze to będzie człowiek, który przeszedł przez jakiś wielki ból w życiu". „W żadnem chyba społeczeństwie niema tyle, co u nas, figur, które nie są i nie starają się być sobą, wydobyć z siebie tego, co stanowi największą ich wartość, a natomiast udają coś, naśladują jakiś wzór, starają się wyglądać na to, czem nie są". „Jesteśmy społeczeństwem leniwem, ale na małpowanie umiemy wydobyć ze siebie ogrom pracy". „Polak tem się przedewszystkiem różni od Francuza, Anglika lub Niemca, że więcej dba o pozory, niż o rzecz samą, że najłatwiej wydobyć z niego energję, gdy chodzi o efekt zewnętrzny, że trudno go rozpalić do działań choćby najskuteczniejszych, ale narazie nieefektownych". W Polsce „ludzie rychlej się męczą, raz dlatego, że nie umieją przeprowadzić ścisłej granicy między pracą a rozrywką, w pracy szukają rozrywki, a chwile odpoczynku psują, gadając ciągle o najcięższych swych troskach; powtóre dlatego, że mają słabsze, gorzej wyćwiczone nerwy; wreszcie dlatego, że przy pracy wykonywają całe mnóstwo niepotrzebnych ruchów". Polacy „to zdolny naród, tylko nie lubią myśleć i nie lubią się często fatygować. Jak się raz wysilą od wielkiego święta, to potem przez całe lata odpoczywają". Do sprawy, której służą, mają Polacy „jakiś stosunek nieosobisty, chwytający za serce", różniąc się tem od Zachodu. W Polsce „spotyka się ludzi, którzy w porównaniu z ludźmi na Zachodzie są, jak książki źle opracowane, niewykończone należycie, ale pełne myśli niepospolitych, w porównaniu z dziełami poprawnemi, wykończonemi według zgóry powziętego planu, ale zawierającemi mało nowego". Gdy porównać te i inne charakterystyki Polaków z książek Wybraowskiego ze specjalnemi badaniami tego przedmiotu, przyznać im musimy dużą wartość ściśle naukową. Nie brak i innych cennych spostrzeżeń socjologicznych, charakterologicznych i nawet estetycznych u Wybranowskiego. Np. myśl o upadku literatury współczesnej z przyczyny niedokształcenia twórców w „Dziedzictwie".

Ale największą wartością powieści Wybranowskiego są walory polityczne: napiętnowanie i zwrócenie narodowi uwagi na dwa wielkie niebezpieczeństwa: żydowskie i masońskie. „Żydem przestać być niesposób" — oto cytat, wyrażający pogląd Wybranowskiego na ten naród.

Drugiem niebezpieczeństwem, jakie stoi na drodze dobra polskości, to masonerja, przed którą ostrzega Wybranowski. Dzieją się dokoła nas w życiu społecznem wypadki, których w żaden sposób wytłumaczyć sobie nie możemy, dokonują się sprawy przedziwne, zawrotne karjery, przesunięcia polityczne. Musiał je autor „Dziedzictwa" bliżej znać, skoro mógł zwalczać z taką siłą tajną organizację ogólnoświatową i skoro mógł tak trzeźwo przeniknąć jej pobudki. J. Rembieliński słusznie wytknął Piwińskiemu, że w recenzji książek Wybranowskiego zarzuca mu, iż nie wykazał celów działalności masonerji. Otóż cel ten wskazał Wybranowski bardzo dokładnie — jest nim służba światowej polityce żydowskiej. W masonerji wolno wszystko mówić, tylko za nic ruszać sprawy żydowskiej. Powiada Culmer do syna: „Pieniądze przechodzą w nasze ręce i przyjdzie niedługo czas, że tylko my je będziemy mieli. Wtedy wszyscy oni będą w naszej niewoli, będą służyli nam za część tego grosza, którym im zabrali... a tych, co nam dobrze służą, trzeba popierać, wywyższać, wmawiać w nich wielkość". Wybranowski demaskuje działalność masonerji i rolę w niej żydostwa z ogromną namiętnością, troską o dobro narodu i z dużym talentem pisarskim. Dziś już coraz bardziej wiadomo na świecie, ile racji ma Wybranowski, mówiąc o kierownikach masonerji. „Masonerja jest instytucją żydowską" — pisze rabin krajowy dr. Izaak M. Wise — „której historja, stopnie, godności i hasła oraz nauki są żydowskie od początku do końca" („*Israelite of America*", 3.VIII.1853). Zarzucał Piwiński Wybranowskiemu, a jeszcze bardziej Wincenty Rzymowski w książce o Dmowskim, że powstanie styczniowe uzależnia od roli masonerji. Otóż Mochnacki wyznał, że już w listopadowem grała rolę organizacja tajna, a nauka stwierdza to coraz wyraźniej o powstaniu 63 r. Nikt się nie waży negować bohaterstwa polskich powstańców, ale czyż to przeszkadza odkrywać te zbrodnicze ręce, które pchały naród do katastrofy? Powiedziało się, że Wybranowskiego tendencja jest wybitnie narodowa, a zatem stąd płynie to gwałtowne przeciwstawianie się masonerji jako organizacji pozanarodowej, kosmopolitycznej, a właściwie zręcznie narzucającej wyższość jednych narodów nad drugiemi.

Na czoło tendencji narodowej dzieł Wybranowskiego wybija się całkiem dyskretna moralistyka. „Czas już" — mówi Zaleski do Borowskiego — „żeby ludzie młodszego pokolenia zaczęli się poczuwać do odpowiedzialności za przyszłość Polski. Dotychczas bawili się raczej jej kosztem. Szukali w polityce efektów, wstrząsów, nie pytając, co to Polskę kosztuje. Boję się, że dziś zawiele myślą o sobie. Tymczasem Polska nie jest

jeszcze ani silna, ani bogata i jeżeli nie będzie ludzi, którzy jej więcej dają, niż od niej biorą, nigdy wielkiem państwem nie będzie...”

Aktualność w powieściach Wybranowskiego nie jest napiętnowana samą negacją, pesymizmem i przekleństwami, jak to często się zdarza w naszej współczesnej beletrystyce (np. Kaden-Bandrowski), owszem powieści te są twórcze, optymistyczne, wyznają kult bohaterstwa i siły narodowej moralności. Optymizm Wybranowskiego ma nurt głęboki, jest to optymizm empiryczno-refleksyjny, stwierdzający wartość życia dla narodu. Jest u niego — jak to określił prof. Chrzanowski w odczycie o „Optymizmie i pesymizmie polskim“ — „praca nad polską dobrą wolą, jako największem dobrem narodu, jako głównem źródłem jego wartości moralnych“.

Społeczeństwo — to są wedle Wybranowskiego rozmaite rasy moralne, a człowiek ma obowiązek walczyć o zwycięstwo rasy szlachetniejszej. „Nasza cywilizacja od czasów greckich wychowuje w nas kult prawdy i pogardę dla kłamstwa”. Książki Wybranowskiego są doskonałym odczynnikiem i dokumentem historycznie cennym, jako przeciwstawienie współczesnej literaturze t. zw. „postępowej“, klasowej. Jej protoplasta, Bruno Jasieński (żyd Zysman) twierdził, że „gdyby nawet Szela historyczny nie istniał, to w interesie o cały świat świadomości klasowej wzbogaconej kultury polskiej należałoby go wymyśleć“. Ta przedziwna troskliwość narodziła się z zakłamania i dziś już rozwinęła się w pokaźną szkołę. Natomiast narodu wstydzą się oświeceni Polacy współcześni, jak to wytknął niedawno prof. Kołaczkowski (w pierwszym numerze „Marchołta“).

Dzieło Wybranowskiego ma znaczenie społeczne i literackie, a to drugie jest właśnie nowym typem twórczości literackiej — społecznym. Wie on dobrze, że „wiedza, mądrość — to wielkie rzeczy, ale dopiero wtedy, gdy promienują, gdy zapładniają inne umysły, by wkońcu znaleźć odbicie w dobrym czynie“. Książki Wybranowskiego nie są uczone, ale mądre i nie polotne, ale o stylu własnym i pięknym. Ich zasługę trwałą legitymują słowa „W połowie drogi“: „Człowiek umiera, ale to, co przez życie zrobił dla swego narodu, przyczyniło się do wzmocnienia i rozrostu ojczyzny. Coś po nas pozostaje, jeżeli dobrze pełnimy swą służbę...“

Oto powieści z życia wzięte i życiu oddane.

JAN BIELATOWICZ

# RADOŚĆ ZBLIŻENIA

(Dokończenie)

MIMO szeregu dworków antokolskich kierujemy się do pałacu i parku Sapieżyńskiego, stwierdzając ze smutkiem przed Świętym Piotrem brak kilku starych, bardzo pięknych klonów, które zostały świeżo wycięte, rzekomo „dla rozszerzenia perspektywy” Antokola. Na szczęście wokoło samego kościoła uchował się gęsty szpaler drzew, ujęty w czworobok hełmowych kapliczek, a napis frontonu *„Regina pacis, funda nos in pace“* mówi rzetelną prawdę: ciszą świętej pustelni tchnie podwórze kościelne za tą ścianą. Co krok tutaj będą się nam przypominały słowa o „wsi spokojnej”, a szczególnie mocnym akcentem tego nastroju uderzy nas prawdziwy „dwór” Błażewiczów zaraz za Świętym Piotrem, cienisto rozrzucony na dużym szmacie wybrzeża, a ogrodowemi lukami wyzierający na osobliwą ulicę, zwaną „brzegiem antokolskim” i na błękitny rozlew Wilji, płynącej dołem. A po tem preludjum przyjdzie i zabrzmi uroczystą fanfarą magnacka siedziba Sapiehów, gdzie obecnie mieszczą się kliniki medyczne Uniwersytetu. Przenosimy się myślą w czasy, gdy miasto tu nie dochodziło, a bramy, pałac, park i kościół, wszystko wspaniale rozplanowane wśród kunsztownego zadrzewienia, znajdowało się w szczerem polu i stanowiło przedmiejską rezydencję możnego rodu. Współczesny utylitaryzm zatracił wiele z dawnego przepychu tej rezydencji, ale i pozostałość dostatecznie świadczy o charakterze starego Wilna, gdzie naturalne elementy wiejskiego życia tryumfująco rozrastają się na szkicowym planie miasta.

Zbliżyliśmy się do wschodniego kresu dawnego Wilna, pomijając wiele bocznych wypadów pejzażowych, nie wspominając nawet o ulicach Polowej, Leśnej, Słonecznej i Wiosennej, których nazwy dość dokładnie malują ich wygląd i treść. Wszystkie one mogłyby tylko stokrotnie potwierdzić tezę wiejskości Wilna, stanowiącą kościec tego opowiadania. Nie chcąc się powtarzać, powrócimy jeszcze do zaułków śródmieścia, by wykazać, jak one harmonizują z opisanem obliczem miasta, pomimo swej murowanej zawartości. Zaułki te mają również cechy odrębne, w niczem nie przypominające większości naszych miast. Kiedy w całej Polsce, pod wpływem obyczaju niemieckiego, wyrosłego na prawie magdeburskiem, ulice zabudowywały się prostolinijnie i krzyżowały się pod kątem prostym, schodząc się przy kwadratowym rynku,— Wilno nie poszło za tym przykładem i zbudowało się na własną modłę, pospolitym wioskowym obyczajem, opartym szczęśliwie na bezplanowości i na przypadku. Profile starych ulic wileńskich nie mają sztywnego kratkowania, tak obcego charakterowi słowiańskiemu, i swemi łagodnemi krzywiznami i wygięciami łudząco przypominają wiejskie drogi i ścieżki. Odczuwa się w nich działanie tych samych warunków życia, jakim podlega wieś. Nawet przylegające domy dostosowują się do falistości ulic wybrzuszeniami swych murów. Prosta ulica miejska wyraża pośpiech, dążność do osiągnięcia celu drogą najkrótszą. Jest to bardzo praktyczne, ale ani zajmujące, ani dekoracyjne. Inna jest geneza drożyny wiejskiej, która powstała nie ze spekulacji mózgu, tylko z odruchowych wymagań samego życia. Ścieżka zrodziła się naturalnie, jako zbieżna potrzeby i przypadku, wydeptana codziennym przechodem miejscowego mieszkańca, zależna od właściwości powierzchni, podatna na każdą nierówność gruntu, czuła w swych odchyleniach od

osi jak igła magnesowa i dlatego wymowna, żywa i piękna. Jak zdobnictwo sztukatorskie w ornamentacji fasad starych domów ujawnia bezpośrednie dotknięcie ręki ludzkiej, w przeciwstawieniu do późniejszych mechanicznych szablonów, wiejących martwą nudą, tak samo wyrazista i zajmująca jest wiejska droga w porównaniu z prostolinijną trasą komunikacyjną. Otóż ulice i zaułki wileńskie musiały powstać niegdyś z obudowanych dróg i ścieżek i zachowały do dziś dnia ich miły, niepraktyczny charakter: idą nieraz w kierunku wręcz niezgodnym ze swoim celem końcowym, a to geometryczne nieporozumienie jest źródłem szczególnego wdzięku i zaraża miękkim, falistym wdziękiem wszystko dokoła—linję rynsztoka i chodnika, wypukłość lub wklęsłość ściany, zarys brzeżny dachu, nawet uszeregowanie kominów.

Kamienice, tyranizowane przez zaułki, dostosowały się ściśle do ich biegu i przybrały najfantastyczniejsze formy, obłe, dalekie od suchego, twardego sześcianu. Ta estetyczna tyranja wsi wyszła miastu na dobre, gdyż uchroniła je od germańsko-protestanckiej sztywności i ułatwiła mu zachowanie nieskażonego słowiańskiego oblicza. Wszystkie stołeczne miasta Polski mogłyby pozazdrościć Wilnu jego ulic i zaułków. Spójrzmy na plan śródmieścia i poszukajmy linij i kątów prostych w tej powikłanej sieci wszelakiej krzywizny i obłąkowatości. Niewiem, czyby się znalazło dziesięć ulic prostych wśród tych pięćdziesięciu, które stanowią obwód starego Wilna, zamknięty nieistniejącemi już murami i bramami. Wymienimy chociaż najtypowsze z nich: ulicę Zamkową, Wielką, Ostrobramską (osiową magistralę miasta!), Mostową, Baksztę i Subocz; zaułki Bernardyńskie, Swięto-Michalski, Kazimierzowski, Literacki i Skopówkę. Każde z nich ma własną twarz, wyraziście zarysowaną — wystarczy je raz ujrzeć, by dobrze zapamiętać, nie tak, jak warszawskie „Wspólne“, i „Piękne“, które mają wspólną cechę braku wszelkiego piękna i dają się rozpoznawać i odróżniać tylko podług napisów i szyldów.

Zaułkami wileńskiemi chodzi się wolno i spokojnie, jak polną drogą. Spogląda się dookoła z przyjaznem zainteresowaniem, jak na rodzinną wioskę i nawet napotykani przechodnie nie są tak bezosobowi i obojętni, jak tłumy, przewalające się głównemi ulicami. W zaułku patrzy się na człowieka inaczej, bardziej po ludzku i chciałoby się nieledwie pozdrowić go dobrem słowem, jak to się czyni na wsi. Idzie się sobie „pomaleńku“, środkiem zaułka, a ten odsłania coraz nowe domy i widoki wraz z odwijaniem się jego krętych załomów, podnieca ciekawość, wytwarza stosunek do otoczenia czynny zamiast biernego. Niektóre zaułki, jak Baksztа albo Jeziorny odrazu zdumiewają szeroko i nisko rozścieloną perspektywą, inne wiją się głębokiemi korytarzami, by w pewnej chwili uświetnić wylot otworzonego zagięcia stromą fasadą kościoła lub wyniosłą, rozpromienioną w słońcu dzwonnicą. Jeśli główne arterje miejskie przebywa się szybko i niechętnie, z uczuciem skrępowania, jakie powoduje wymijanie pieszych i hałas ruchu jezdnego, to na małych uliczkach i zaułkach człowiek czuje się swojsko, zwalnia po wiejsku kroku, bo wszystko, co go otacza, jest zajmujące, usposabia do odprężenia, do wyzwalania się myśli, niezagłuszonej przez uprzykrzoną wrzawę. Pomimo bruku i chodnika, nieraz zresztą całkiem prymitywnego, czuję się pod stopami ziemię, a nad głową widzi się bez przeszkody niebo. Ziemia i niebo przypominają idącemu o swojem istnieniu i dają mu poczucie swej przyjaznej obecności.

A kiedy przyjdzie doroczny fest kiermaszowy, albo i pospolity „dzień targowy“, a place wileńskie zapełnią się różnokolorową ciżbą ludu i towaru, przybyłego z okolicznych wsi — wówczas wita się z tajemną sympatją tę pstrokatą i niesforną inwazję wioski na miasto i z zadowoleniem wziewa znajome zapachy baranich kożuchów, dziegciowych butów, przejącego siana i smolnego, świeżo obrobionego drzewa, zapachy surowe i mocne, lecz o ileż milsze od słodkawego miejskiego fetoru. Oko błądzi z rozkoszą po woskowożółtych, jędrnych jak miąższ jabłeczny, statkach drewnianych, po wielobarwnej mozaice warzyw i owoców, po siwych i burych siermięgach chłopskich, po stertach rozrzuconych samodziałów i szafranowych zwałach smorgońskich obwarzanków. Ucho wsłuchuje się z lubością w dudniący gwar jarmarczny, w tę przeciągłą, koszlawą polszczyznę zaściankową, albo w pokrewną jej, ale twardszą białoruszczyznę i znajduje w nich echa, współbrzmiące z własną podświadomą wymową. Myśl wita przychylnie tę rozkołysaną „wędrówkę narodów” i stwierdza z pewnem zdziwieniem, że te wiejskie gromady, te drabiniaste wozy i oszerszeniałe konie są zupełnie na swojem miejscu śród wielkiego placu Łukiskiego obok magistralnej ulicy Mickiewicza. W mieście o innym charakterze wyglądałyby obco i rażąco — tutaj nie tworzą żadnego rozdźwięku z otoczeniem, jakgdyby znajdowały się u siebie w domu.

Bo w Wilnie, człowiek, dom, podwórze, ogród i ulica — wszystko jest zaznaczone tą samą cechą domowej swojszczyzny, serdeczną, zieloną pieczęcią przyrody, wszystko wyszło z ziemi i jest przepojone jej prostotą i sentymentem. W Wilnie nie można pozostawać długo obojętnym widzem i obcować z niem na zimno. Wilno pociąga lub odtrąca. Albo się je zrozumie i pokocha bez zastrzeżeń, albo się odchodzi od niego gderliwym malkontentem. Nie wszyscy odczuwają świadomie tę moc przyciągającą i nieprzepartą, w której kryje się czar Wilna, nie wszyscy zdają sobie sprawę z tego, jak bardzo są do niego przywiązani; czasem dopiero zmiana miejsca i porównanie z miastem innem wydobywają na jaw podświadome zrosty uczuciowe i wzbierają strumieniami żalu i tęsknoty. Ale te zrosty są głębokie i mocne. Wilnianie kochają swoje miasto szczerze i wiernie, gdyż kochają je nie za wygody, blask i zbytek, lecz — pomimo ich braku. Kochają Wilno po synowsku, po wiejsku, po polsku.

Miłość jest twórcza. Oczyszcza ona i pogłębia swe źródła i w przedmiocie miłowania odnajduje niewyczerpane zasoby motywów tego pogłębienia. Wilnianin jest serdecznie rad swemu miastu i żyjąc z niem w zgodzie wewnętrzej, znajduje w każdej chwili sposobność do odczuć i wrażeń, które są nie opornem przeciwstawieniem, lecz łagodną i ukojną afirmacją stanów własnej duszy, i dźwięczą razem z nią pogodnym zestrojem. Kto wie, czy harmonja nie jest szczytem szczęścia ludzkiego i jedyną prawdziwą jego formą? Harmonji tej próżno szukać w wielkiem mieście, pełnem sprzeczności i zgrzytów. Ale znaleźć ją można w naszem sielskiem, cichem, zielonem Wilnie. I w tem jest jego odrębność, wartość i piękno.

JAN BUŁHAK

# NA WIDOWNI

Mechanika czy żywe siły narodu. — Rzeczywistość i mistyka automatyzmu. — Dzisiejszy dandyzm ideologiczny. — Dłubanie w ustroju społecznym. — Powieść modnego młodzieńca. — Ani 10 groszy, ani czekolady.

JEST rzeczą zastanawiającą, jak mało człowiek współczesny wymaga od siebie, a jak wiele od społeczeństwa. Na tem polega kryzys, że się życie przespołeczniło. Wypadł z rachunku sam człowiek ze swemi żywemi siłami, cała zaś kalkulacja oparta jest na genjalności maszyny społecznej. Przyczyny pomyślności i niedoli tam leżą, w tej maszynie, a ponieważ najogólniejszą i najsilniejszą instytucją społeczną jest państwo, więc na niem wsparły się wszystkie rachuby.

Taki jest stan rzeczy, oczywiście niezadowalający oczekiwań i prowadzący coraz głębiej w otchłań pesymizmu. Obraz stosunków, w ten sposób wytworzonych, staje mi w oczach, gdy widzę w Saskim ogrodzie dziecko, mocujące się z bezdusznym automatem. Zawiedziona rachuba: ani dziesięciu groszy, ani czekolady! To jest kryzys!

Czasy nasze zbierają plon z posiewu nauki o materjalistycznym sensie świata i dziejów ludzkich. Niema wiele do wyboru, chodzi mianowicie o to, co w świecie, tworzonym przez człowieka, dzierżyć ma prym: duch — czy materja i mechanizm? Wiek XIX dogadał się w duchu żydowskim (Marx), że materja. W tym stylu urządził się w rezultacie kraj naiwny, kraj, który w Europie zagubił swoje dzieje — Rosja. Ale jakże wielkiego zniszczenia dokonał ten światopogląd u nas! Dopokąd niewypleni się w Polsce do szczętu nasienie tego pokolenia, które tej nauce uległo, chorować będziemy.

Bo do czegoż to zmierza? Do zabawnego ideału, żeby maszyna społeczna sama — bez udziału człowieka — funkcjonowała. Do zabawnego — powiadam — bo wyznawcy materjalistycznego światopoglądu nie zdają sobie sprawy, że gdy duch zwyrodnieje, to nie starczy ludzi do obsługi aparatu społecznego. Gdy zabraknie *spiritus movens*, którym jest odpowiedzialny człowiek, to nienakręcany aparat wkońcu stanie.

Czy można mechanizmem zastąpić dobrowolność świadczeń na rzecz społeczeństwa? Odpowiedź daje właśnie Rosja. Zmechanizowano ludzi, dobrowolność zastąpiono przy pomocy rewolweru i bata przymusem, a gdy to nie skutkowało, psychologowie doradzili stosowanie podniet łaskotliwych: hurra-praca, „udarniczestwo”, wreszcie emulacja jednostkowa — wyścig. Oczywiście ani huraganowa praca, ani wyścigowa rezultatu nie dały, była to bowiem psychologja mechaniczna, według której tresować można konie i psy, w twórczości zaś potrzeba czegoś więcej: osobistego do rzeczy stosunku, intuicji i ofiary, oddawania duszy życiu z tą tendencją, aby ono prosperowało, choćby kosztem osobowości człowieka, to życie tworzącego. Potrzeba na to wiary, że wszystko co robimy jest wkładem w wieczność, do której człowiek należy, potrzeba miłości, której zasadą jest oddawanie swego ja na rzecz całości, potrzeba poczucia odpowiedzialności przed Bogiem i historją.

Tej psychiki regulaminem nie da się narzucić; to są dary ducha organiczne, nie zaś racjonalistycznie wyrobione sprytem. Życia „na kawał” i na przymus na stałe wziąć nie można; przepisy i instytucje tyle są warte, ile wypływają z tamtej psychiki organicznej i przez nią są uświęcone. Wiara w mechanizacją duszy jest prostackim zabobonem. Odwoływania się do duszy żywej, do sił spiritualnych nie trzeba uważać za „anarchizowanie” ustroju mechanicznego społeczeństwa, lecz za nastrzykiwanie tego ustroju krwią żywą.

Czytamy, jakie wyniki dała praca w Rosji w kolejnictwie. Tam już nikt dziełu rąk ludzkich zawierzyć się nie może. Powstają pozorne arcydzieła, jak kolej podziemna w Moskwie, ale tylko na obrazku, użyć jej nie można. W lutym na linjach kolejowych tego idealnie zorganizowanego państwa było siedem tysięcy katastrof.

Oto są rezultaty materjalistycznego na duszę ludzką poglądu.

Epoka socjalistyczna w Polsce, tem w dziejach naszej kultury złowieszcza, że dumna ze współpracy swojej z żydami i rewolucją rosyjską, zostawiła po sobie generację, pragnącą nadawać dzisiaj kierunek i „szyk” umysłowości polskiej. Tak głupiej ideologji nie było jeszcze nigdy w Polsce. Od ludzi najwyższej marki w publicystyce do sztubaków, w całej generacji, tym prądem objętej, mózgi odurzają się wzajemnie pokrzykiwaniem jakichś haseł na modłę bolszewicką, mających jeden tylko sens psychologiczny: oszukiwanie własnego serca.

Ogłupiony karjerą, jakie robią te hasła, młodzieniec, nauczony w szkole polskiej pisania, smali w pisemkach, rodzących się jak grzyby, niesłychanie wiatrologiczne artykuły przeciwko duchowi, mającemu jakieś uroszczenia do życia historycznego w instytucjach, tradycjach i stosunkach społecznych. Precz z człowiekiem: niech żyje automat! Skoro zaś tak, to precz z własnością indywidualną! A przedewszystkiem precz z religją, precz z narodem!

Młodzieniec dzisiejszy, wychowany w duchu automatyzacji, bolszewizuje, nosi się z żydowska wolnomyślnie i wciąż majstruje w urządzeniach społecznych. Niema nic do powiedzenia o człowieku, o życiu wogóle i jego zagadnieniach wieczystych; dla niego istnieje współczesność, rzeczywistość materjalna i technika społeczna. Obiecujące „bebe” dzisiejsze, obiecujące mianowicie, że „wszystko dla państwa”, — to mechanik. Ono dłubie, nietylko w nosie, ono rozbudowuje, wierzy tylko w instytucje i ustawy i tą swoją wiarą dzieli się z instytucjami trybem kon-fidencji. Nietyle jest *fidelis*, ile *confidens*. Na człowieka niezależnego — z zębami i z Berezą.

Jaki jest kurs ideału współczesnego, o tem najlepiej informuje powieść, doskonale „rozbudowana” przez poprzednie pokolenia, dla których hasło „kultury” nie było jeszcze maską oszustwa. Weźmy dla przykładu powieść obiecującego młodzieńca, p. Leona Kruczkowskiego „Pawie pióra”, owego młodzieńca, którego pierwszą powieść „Kordjan i Cham” podniesiono do znaczenia czynu państwowego. Mechanik ten, żeby dobrze odciąć swoją epokę bolszewicką od dawnych ideałów narodowych, wziął jeden z najpiękniejszych wzorów narodowej twórczości społecznej na zachodzie Polski, sparodjował, wyszydził, oplwał, zohydził.

Mnie osobiście taki czyn literacki wydaje się wstrętny. Starsi, gdy dziecko na nich podnosi rę-

kę, mawiają: „Niechaj, bo ci ręka uschnie!” A ja przepowiadam p. Kruczkowskiemu, że uschnie mu talent.

Bo cóż zrobił p. Kruczkowski? Niechby dochodził do swoich wniosków na podstawie własnych obserwacyj; wolał jednak wziąć za podstawę „Pamiętnik chłopa”, Magrysia z Handzlówki pod Łańcutem, dokument historyczny, opatrzony świadectwem prof. Franciszka Bujaka, a prowadzący do zgoła odmiennych wniosków, i ten dokument dowolnie poprzeinaczał. Nie wiem, czy żyje jeszcze Magryś, ale żyje prof. Bujak. Jest to więc gruba ze strony pisarza nieprzyzwoitość, jakbyśmy patrzyli na chłopca, który w towarzystwie przedrzeźnia człowieka poważnego. Bo cóż sobie wyobraża? Że jego koncepty agitatorskie są argumentem przeciwko prawdzie historycznej? Że dzieło sztuki, obliczone na niewybrednych czytelników, może mieć wartość?

Prof. Bujak, ceniony za swoją uczoność, mądrość i szlachetność ideową, pisał przedmowę do pamiętnika chłopskiego z pewnem wzruszeniem. Kogo dręczy troska o przyszłość Polski — tak zalecał książkę — niech czyta dzieje Magrysia i jego wsi [1]). Dzięki temu chłopu wyrobnikowi, później pisarzowi gminnemu (sam nauczył się pisać), wieś dźwignęła się z nędzy i uświadomiła społecznie, i w dostatku wytworzyła tak dodatnie warunki rozwoju człowieka, że wzorem się stała dla całego kraju. Ale p. Kruczkowskiego to gniewa, jego bowiem nie dręczy troska o przyszłość Polski. Uważa, że taki rozwój to hodowla „kułaków”; „bogoojczyźniane“ ideje są pokrywką dla wyzyskiwaczy ludu — księży, ziemian i „kułaków“. Zwłaszcza nienawidzić każe Kościół, działalność zaś księdza i pisarza gminnego, zmierzające do uwolnienia wsi od żydów, którzy ją rozpajali i niszczyli (przedtem pisarzem gminnym był żyd szynkarz), wyśmiewa jako wstecznictwo. Ten zaś żyd ma za sobą wszystkie sympatje autora; jest to najszlachetniejsza w powieści postać. Ileż tam przytem ironji na temat tak popisowych do niedawna haseł „niepodległości”! Książka obiecującego młodzieńca tchnie rewolucją socjalną, ale gorzej — zieje nienawiścią do całego ustroju cywilizacji chrześcijańskiej. W jego światopoglądzie niema już zgoła miejsca na osobowość ludzką z całem jej bogactwem darów twórczych. Istnieje tylko miara rzeczy ilościowa: dochodu, posiadania i siły fizycznej. Właściwie temu zachowaniu się umysłowemu p. Kruczkowskiego nie przysługuje nazwa „światopoglądu“; jest to jakiś dandyzm socjalistyczny, modne pozowanie na rozpustę społeczną.

Każda epoka ma swój sposób filozoficzny ujmowania stosunku człowieka do świata, ale tak głupiego stanowiska żadna nie zajmowała. Humanizm, wyłączający z systemu duszę człowieka, darmo kokietuje historję wynalazkiem jakiegoś racjonalnego automatu społecznego.

Mniejsza zresztą o powieść kakofoniczną, ale niech ci entuzjaści nie tworzą nam hymnów państwowych! Ciągle mam w oczach owe dziecko, stojące bezradnie przy bezwładnym automacie.

Któż te hymny będzie śpiewał?

ZYGMUNT WASILEWSKI

[1]) Pisałem o pamiętniku Magrysia obszerniej w nr. 16 i 18 „Myśli Narodowej” z r. 1932.

# GŁOSY

PÓTY POBÓG-MALINOWSKI WOJOWAŁ HISTORJOGRAFJĄ, aż sam stał się wydarzeniem historycznem. W „Kurjerze Porannym” (nr. 90 z 31 marca) ukazał się na paru stronach wielki artykuł p. t. „Szkodliwa pseudohistorja rodu, życia i pracy Marszałka. Pani Marszałkowa Piłsudska karci niesumienność dziejopisarską”.

Chodzi o to, że p. Władysław Pobóg-Malinowski, gorliwy historyk lat 1905 — 1935, ze swojemi ostatniemi dziełami: „Akcja bojowa pod Bezdanami” oraz „Józef Piłsudski” (monografja), przekroczył granice dozwalanej biografom poufałości. Mianowicie w zapamiętaniu pietystycznem p. P.-M. zapomniał o tem, że osoby żyjące, o których się pisze, mają więcej do powiedzenia o sobie, niż biograf i że przeto przyczynków zebranych nie można uważać za pamiątki, których się nie poddaje krytyce.

Zdarzenie to obudzić powinno refleksję, że zapamiętałość jest złym doradcą w sprawach naukowych — zarówno gdy się samemu chce uchodzić za badacza, jak i przy ocenianiu stanowiska naukowego badaczy prawdziwych.

Środowisko najbliższe P.-M., które go podnieciło do pracy i pracę jego entuzjastycznie oceniało, jednocześnie wydawało opinje i decydowało o losach historyków prawdziwych. Zapanował niesłychany zamęt w poglądach na naukę historji i na szacanek należny prawdzie historycznej. Nie trzeba zapominać, że bezpośrednio przed wywiadem u p. Marszałkowej Piłsudskiej, w tymże „Kurjerze Porannym” i wogóle w prasie obozu sanacyjnego pełno było zachwytu z powodu ukazania się monografji p. Pobóg-M., a jednocześnie, jak w upalny dzień, trzaskały tam pioruny w stronę prawdziwego historyka, ś. p. Wacława Sobieskiego.

Skąd tyle elektryczności w atmosferze? Ścierają się dwa prądy psychiczne: jeden prąd jest natury narodowo-historycznej, drugi — obozowo-personalnej. Ten drugi nie znosi historji dawnej, wysuwa na czoło historjografji kronikę dnia i dytyramb, przyczem era historyczna zaczynać się musi od zdarzeń, które się stały za życia osób współczesnych. Z tego powodu, gdy ten prąd dochodzi do wpływu, zaczyna się niecierpliwy ruch nowatorski, następuje przewrót w pojęciach o kulturze. Podmiot starych dziejów — naród uchodzi za niepożądanego konkurenta nowego obozu i nowej ery, a nowa epoka wyolbrzymia się mitem, w którym wreszcie osoby, dające epoce początek, stają się czemś nieosobistem.

Kiedy odzyskaliśmy byt państwowy, pierwszym odruchem myśli narodowej było przywrócić nurtowi dziejów bieg normalny, zjednoczyć Polskę nietylko w przestrzeni, lecz i w czasie. Przypomnijmy sobie, że pierwszym ruchem myśli historycznej naszej było nawiązać duszę narodu do Chrobrego czasów. Stąd doszło nawet do emblematów, które młodzież nosiła. Nie wolno było apoteozować pokolenia swego za to, że dożyło wielkiej daty dziejowej, a tem mniej, nagradzać z tego tytułu jego zasługi. Wiedzieliśmy, że dłuższego czusu jeszcze potrzeba, długiej i głębokiej pracy wewnętrznej, zanim Polska wyprostuje się i wypełni duchem swoim formy swego nowego bytu.

Byliśmy za to wszystko i za całą pracę około odrodzenia Polski piętnowani kłamliwie, z całą świadomością kłamstwa, szkalowani bez krępowania się wobec osobistości najbardziej zasłużonych— właśnie przez p. Pobóg-Malinowskiego, przysięgłego historyka nowej ery. Czynił to dla przypodobania się nowym czasom.

Kładzie go nie nasza ręka. Niechby teraz wyciągnął ze swego zdarzenia naukę, że podstawą etyki i intelektu historyka musi być sumienie „człowieka wiecznego". Sezonowa dusza nie wystarcza.

ZMARŁY przed kilkoma dniami profesor Wacław Sobieski miał swoje poglądy na fakty historyczne. Poglądów tych nie krył oportunistycznie, ale je głosił śmiało i otwarcie. Była to wielka odwaga, gdyż odbiegały one od utartych już, wskutek taktyki „państwowo-twórczej" propagandy, oświetleń, spreparowanych przez specjalny typ „historyków". Odwaga ta wywołała niesłychaną burzę, pełną oszczerczych insynuacyj. Zanucono zmarłemu, że w oświetleniu pewnego faktu historycznego pominął nazwisko obecnego ministra wojny i że postąpił tem samem nieuczciwie. Zarzut nieuczciwości przeszedł przez gardła insynuatorów wcale gładko. Zapewne się nawet zdziwili, iż mógł kogoś aż tak mocno dotknąć, że go nawet życiem przypłacił. Sami przecież na każdym kroku przedstawiają tendencyjnie fakty historyczne, sami np. nie wymieniają organizacji Ligi Narodowej przy omawianiu faktu zjednoczenia i odzyskania przez Polskę niepodległości, sami przecież przemilczają nazwisko Dmowskiego przy omawianiu faktu odzyskania morza, nazwisko Skarbka przy obronie Lwowa i wielu, bardzo wielu innych okazjach. Zarzutem nieprawdy zgoła nie myślą się przejmować...

Śmierć Wacława Sobieskiego zbiega się nie tylko z oszczerczą kampanją prasową, ale i jej konsekwencją — skasowaniem katedry, którą posiadał na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zbiegnięcie się tych trzech faktów nie jest przypadkiem, tak jak nieprzypadkową była śmierć prof. Oswalda Balzera, czego dowodem list, przytoczony w „Myśli Narodowej" na wiosnę roku 1933-go, bezpośrednio po śmierci wielkiego uczonego i... skasowaniu autonomji wyższych uczelni.

# NAUKA i LITERATURA

## PODRĘCZNIK SKARBOWOŚCI

NAJNOWSZE dzieło prof. Rybarskiego p. t. „Nauka skarbowości", aczkolwiek przeznaczone przedewszystkiem dla słuchaczów Uniwersytetu, powinno znaleźć szersze znacznie koło czytelników. Naprzód, sam jej przedmiot interesuje obecnie już nie tylko ścisłe grono fachowców, lecz ogół inteligencji, rozumiejącej wagę gospodarki państwowej zarówno dla państwa jak i dla gospodarstwa prywatnego. Następnie, sposób ujęcia zagadnień, chociaż utrzymany na wysokim poziomie naukowym, czyni je przystępnemi dla wykształconego ogółu.

Książka nie jest przedstawieniem przepisów prawnych, obowiązujących w obecnej chwili w Polsce w dziedzinie finansów publicznych, lecz wyjaśnieniem zasad skarbowości, jest więc ogólną nauką skarbowości. Poświęcona nauce ekonomicznej, zajmuje się zjawiskami ekonomicznemi, występującemi w gospodarstwie państwa. Autor daje systematyczny wykład instytucyj skarbowych na tle poglądów teoretycznych, wyjaśnia genezę tych instytucyj i rozwój historyczny, wykazuje ich formy najcharakterystyczniejsze w różnych państwach.

Czasy powojenne, które postawiły tak trudne i skomplikowane zadania przed gospodarstwem państwowem, stanowią wyjątkową epokę dla doświadczeń skarbowych. Wiele, zdawałoby się, najmocniej ugruntowanych poglądów teoretycznych, wiele stosowanych z powodzeniem zasad praktyki, zostało zachwianych lub obalonych. I w dziedzinie skarbowości przeżywamy okres rewizji poglądów i zasad, wzbogaceni smutnem doświadczeniem. Prof. Rybarski, w sposób jasny i wszechstronny, wszystkie wysuwające się zagadnienia omawia krytycznie, nie hołdując żadnej oderwanej doktrynie. Oczywiście najwięcej zwraca uwagi na stosunki polskie. Nieraz oświetlając historycznie jakieś zjawisko, ilustruje je ciekawie a naogół nieznanemi faktami z okresu Polski przedrozbiorowej, zakres bowiem jego różnostronnych zainteresowań obejmuje również nasze dzieje gospodarcze, których jest wybitnym znawcą.

Książka rozpada się na cztery zasadnicze działy: budżet i prawo budżetowe, wydatki państwowe, dochody, długi państwowe, zawiera zatem całokształt nauki skarbowości. Należy przewidywać, że oddziała ona dodotnio na toczące się wciąż dyskusje finansowe, dając im gruntowne podstawy naukowe. B. W.

## Z RUCHU WYDAWNICZEGO

D-r Stanisław Nowak. „Z moich wspomnień". Cz. I. Lata szkolne 1884 — 1902; Część II. Od lipca 1902 do lipca 1914 r. Dwa tomy. Nakładem księgarni W. Święcickiego i Sp., w Częstochowie. Str. 149 i 209.

Znany działacz narodowy i znakomity lekarz - organizator opowiedział swe przeżycia w gimnazjum i uniwersytecie w czasie rosyjskiego zaboru i przedstawił ówczesne metody systemu rusyfikacyjnego, ciążące jak zmora nad ideałami narodu i nauki, typy profesorów, szpiegostwo władz szkolnych i policyjnych, i w przeciwstawieniu do tego młodzieńczą werwę i tężyznę uczniów. Studentów narodowców, winnych urządzenia manifestacji patrjotycznej, więziono w X pawilonie. Więzienie uniemożliwiało studja, ale zresztą nie było straszne. Wolno było przyjmować odwiedziny rodziców i krewnych, paczki z żywnością, „odżywialiśmy się znakomicie"—pisze autor—„otrzymywaliśmy książki, nieraz gazety... graliśmy po całych dniach w wista i preferansa, przysłano nam również piłkę do gry, grywaliśmy w ekstrę, wybijaliśmy piłką dziury w ścianach, a nieraz padała ofiarą i szyba. W czasie spacerów korzystaliśmy z zupełnej swobody". Nie gorzej było na zesłaniu do Tambowa, bo studenci mogli tam korzystać z bibljoteki publicznej i gościnności licznych domów polskich. Później podczas studjów uniwersyteckich w Charkowie „organizacja młodzieży polskiej miała charakter wybitnie narodowościowy, zupełnie niezależny od *ziemlaczestw* młodzieży rosyjskiej... Kolonja polska w Charkowie w r. 1875 liczyła przeszło dwa tysiące osób. Inteligencji polskiej w Charkowie było bardzo dużo". Po otrzymaniu patentu, dr. Nowak osiedla się w Częstochowie, poświęca się pracy społecznej w zakresie szpitalnictwa i hygjeny, uczestniczy w zakładaniu różnych instytucyj publicznych, przyczem, w związku z wyborami do Dumy, walczy z socjalistami i międzynarodówką o polski charakter tych instytucyj i miasta.

Książka „Z moich wspomnień" daje pełny obraz życia Częstochowy. Jest wierną i doskonałą kroniką minionych czasów. (A. W.)

*

Pani Stanisława Hausnerowa w formie powieści p. t. „Twierdza ducha", porusza cały szereg zagadnień wielkiej wagi dla współczesnego człowieka. „Czem jest życie?" — Oto pytanie, na które odpowiedzi szuka bohaterka powieści Regina poprzez doświadczenia w ciężkich przeżyciach i znajduje wreszcie w syntezie, opartej o wskazania Chrystusowe, tudzież o mesjaniczne ideje naszych wieszczów romantycznych.

Regina to typ niepospolitej konstrukcji duchowej. Zawód, doznany w zaraniu życia, nie złamał jej, lecz uczynił

z niej pątniczkę, szukającą źródła prawd wiekuistych w celu rozwiązania zagadki istnienia. W wędrówce tej spotyka Regina zespół ludzi, budujących „Twierdzę Ducha“, czyli ognisko, skupiające dusze, tęskniące do zrealizowania idei prawdy, piękna, miłości i sprawiedliwości—dusze szukające Boga, badające Jego prawa i tajemnice i pełniące Jego wolę.

Nadchodzi epoka wielkiej wojny. Jako pielęgniarka spotyka Regina w szpitalu blizkiego jej człowieka, rannego na wojnie i oślepłego. Poznaje tam kapłana wielkiej pobożności i wiedzy, który mocą swego ducha, miłości i wiary powraca cudownie wzrok niewidzącemu.

Następne rozdziały zastają Reginę wśród zamieszki wojennej, gdzie znów zaakcentowane są momenty patrjotyczne i mesjaniczne ideje. Potem w Bolszewji przeżyte wrażenia przynoszą Reginie zrozumienie okrutnego znaczenia przeżywanych wypadków. Końcowy etap rozgrywa się w buddyjskim klasztorze, gdzie mistrz tybetański, opiekun duchowy Reginy, wprowadziwszy ją w stan jasnowidzenia, okazuje jej obraz toczącej się właśnie pod Warszawą bitwy z Bolszewikami i „Cudu nad Wisłą“, który ma być symbolem posłannictwa Polski jako „Twierdzy Ducha“ przed przemocą ciemnych potęg, grożących ludzkości zagładą. (H. B.)

# WIECZÓR MUZYKI i ŻYWEGO SŁOWA

DNIA 16 b. m., w sali koncertowej Konserwatorjum warszawskiego, odbył się „Wieczór muzyki i żywego słowa“. Publiczność zgromadziła się nadzwyczaj licznie: musiano wstawić krzesła dodatkowe, ponieważ w kasie brakowało biletów.

Wanda Miłaszewska odczytała trzy niedrukowane dotąd urywki swej prozy: „Wzlot“, „Pianino“ i „On gra“. Są to fragmenty o charakterze pamiętnikarskim, dorównujące najpiękniejszym kartom „Duszy domu“. Prostota, rzewność, połączona z dyskretnym humorem — oto najwybitniejsze wartości tych utworów, pełnych uroku, w niezawodny sposób oddziaływającego na czytelnika albo słuchacza. Autorka „Kacząt“ ujawniła ponadto wyjątkowy talent recytatacyjny, czarując wdziękiem równocześnie wytworności i swobody.

Stanisław Staniewicz — mimo wyraźnie przeszkadzającej mu „tremy“ — zaprezentował się jako pianista dużej miary. Wszystko wskazuje, iż czeka go przyszłość niepospolitego artysty i wirtuoza. Głęboki ton, doskonałe poczucie rytmu, a przedewszystkiem żywiołowy polski temperament, okazały się najdobitniej w ujęciu takich dzieł Szopena jak „Ballada *As-dur*“, „Polonez *As-dur*“, „*Scherzo-H-moll*“ i t. d. Tu najwyraźniej uwydatniła się przewaga Staniewicza w zestawieniu naprzykład z Bolesławem Konem (przed tygodniem właśnie mieliśmy sposobność wysłuchania jego *recital*'u w Filharmonji), choć ten ostatni — w niektórych momentach — górował nad artystą polskim pewnością i sprawnością swojej techniki. Wykonanie „Poloneza *A-dur*“ odegranego na *bis* przez Staniewicza, stało się prawdziwym triumfem pianisty.

Publiczność gorąco oklaskiwała i żywe słowo i muzykę. Wanda Miłaszewska i Stanisław Staniewicz byli przedmiotem długotrwałych, serdecznych owacyj. R.

# MUZYKA

FILHARMONJA. — Nie będę już powtarzał, że Robert Casadesus jest pianistą świetnym, że posiada wysoką kulturę muzyczną, że rozporządza nienaganną techniką (zgrupował przecież wokół siebie całą szkołę sztuki odtwórczej!) — opinja to powszechnie znana i najzupełniej zasłużona. Dorzucę tylko jeszcze jedno słowo pochwały za sposób traktowania takich postaci, jak np. Cezary Franck. Piszę „takich“, bo nie trzeba ani na chwilę zapominać, że Casadesus sam jest kompozytorem o charakterze bardzo dalekim od tego, jaki cechował wrosłego w Paryż Belga. Jednostce twórczej niezwykle trudno jest zdobyć się na objektywizm. Sposób, w jaki Casadesus grał warjacje symfoniczne, wystawił pianiście świadectwo jaknajkorzystniejsze; nie zauważyliśmy nawet za grosz owego krzykliwego prostactwa, które odsądza od wartości każdą inną indywidualność, a zwłaszcza z okresu niedawno minionego.

A już interpretacja Débussy'ego dała słuchaczowi pełne i chyba największe zadowolenie. Czuło się najwyraźniej, że Casadesus jest krew z krwi i kość z kości tym samym Francuzem, którym był Débussy i tak samo jak on prawdziwym, mimo, iż przecież od czasów, w którym żył autor „*Images*“, zmieniło się wiele; przychodziły rozmaite kinrunki, ścierały się z sobą, głosząc swe manifesty. Impresjonizm przeszedł przez sarkastyczną chłostę Satie'go i „grupy sześciu“. Nic w tem niema dziwnego; każde nowe pozytywne ujęcie musi mieć u podstaw negację. Impresjonizm muzyczny Débussy'ego także początkowo był przeciwstawieniem. Skolei sam stał się pokładem wielkiej cywilizacji narodu francuskiego. Jednym z wielu od czasów, gdy to układali pierwsze hymny św. Herman i św. Cezary z Arles. Między nimi a Ibertem, Delvincourtem i Ferroudem, których słyszeliśmy w piątek, jest kilkanaście wieków. Ci trzej, to jedni z tych co reprezentują pokład ostatni.

Najpierw wrażenie ogólne — wszystko, zarówno symfonja *a-dur*, „*Bal Vénitien*“, jak *divertissement* są „zrobione“ poprostu świetnie. Francuz, chociażby nic nie miał do powiedzenia, a tylko „paplał“ językiem, to i ta nawet paplanina będzie wysokiego gatunku. Tak, trudno inaczej, skoro się dźwiga na sobie owe kilkanaście wieków, mimo, iż nawet wyraźnie chce się inaczej. Zdajemy sobie wszyscy sprawę ze schyłkowości naszego okresu cywilizacyjnego. Zadziwiające przewrażliwienie Débussy'ego ma w sobie coś z degeneracji człowieka starej rasy. Gdzie szukać świeżego zastrzyku? W poszukiwaniu prymitywu spróbowano się poddać wpływom muzyki rosyjskiej. Wyniki były niemałe, ale czy szczęśliwe? Rzucono się tedy skolei na importowaną z kolonij afrykańskich muzykę czarnych. Wzięto na warsztat niezmiernie ciekawy surowiec i zrobiono z tego... dobre wydanie francuskie. Obawy, jakoby „miazmaty barbarzyńskiego prymitywu murzyńskiego“ miały zatruć atmosferę, okazały się śmieszne i małoduszne. Do dzisiejszego dnia są motywami, pełniąc bez żadnej szkody rolę jednej ze ścieżyn, prowadzących ku upragnionej prostocie. Prostoty poszukiwał i prąd urbanistyczny. Rytm maszyny oraz tętno ulicy pociągnęły na chwilę wprawdzie, ale mocno. Zdawało się przecież, że coś, co wypływa z miasta i jego istoty, stanie się bliskiem Francji, która ma w sobie wiele kultury typu mieszczańskiego, walczącego o lepsze z wytworem szlachecklej dworskości aż do jednej z największych rewolucyj w dziejach świata. Jednakże okazało się, że mieszczańskość francuska, ta, której wykwitem jest cud katedry gotyckiej i całe życie wyrosłe u jej podnóża, aż po wydanie chwili bieżącej (wcale zresztą nienajlepsze), nic nie ma wspólnego z koncepcjami, naniesionego oceaniczną falą amerykanizmu, kto wie czy nie bardziej barbarzyńskiemi od głuchych uderzeń afrykańskiego bębna, chociaż w swych formach pozornie dalekiemi od prymitywu.

Muzyka francuska jest więc dziś w dalszym ciągu okresu, poszukującego prostoty, wyrazu czasów, które nadchodzą. Wyraz do odnalezienia niezwykle truduy. Będzie on niewątpliwie wynikiem długiego procesu. Jaka jest w nim nasza pozycja — czas dopiero pokaże.

Tymczasem możemy sobie podkpiwać z tego, co było komiczne, co było istotnie śmiechu warte. Śmieje się więc Jacques Ibert z kankana, tańczonego w zielonawem świetle lamp gazowych. W jego *divertissement* przewija się cały świat Degasowskich baletnic z Wielkiej Opery i całe życie nocnych, paryskich kabaretów. Wszystko to dzisiaj niesłychanie nas bawi, jak bawiłby widok balonu, unoszącego się

nad terenem wystawy paryskiej w roku 1900-nym. Groteska Iberta nic nie ma wspólnego z ponurym humorem ołówka George'a Grossa, chociaż niby napozór temat ich łączy ten sam. Niektórzy, słuchając dowcipnego opowiadania inteligentnego Francuza, nie byli pewni, czy to jest aby muzyka zupełnie poważna... Nie klasyfikujcie satyry niżej od pompatycznego poematu symfonicznego, bo was Ibert wyśmieje. I jak jeszcze! A my wszyscy będziemy długo, długo klaskać, jak w piątek na koncercie w Filharmonji.

W. NARUSZ

# FILM

ŚWIATOWID: „Katiusza" reż. Mamoulian, film amerykański. „Katiusza" to sfilmowane „Zmartwychwstanie" Tołstoja. Tytuł zmieniono, dla odróżnienia tego wydania filmowego, od dwu poprzednich wersyj, wyświetlanych pod nazwą właściwą.

Możnaby się zastanawiać nad tem, co filmowcy znajdują w tej powieści, ze swego punktu widzenia, frapującego, że aż trzy razy próbowali przeróbek jej na ekran. Zapewne tym magnesem nie była „tołstojowszczyzna", zabarwiająca w charakterystyczny sposób zwłaszcza drugą część utworu wielkiego pisarza; zresztą trudna i wątpliwe, czy odpowiednia do odtworzenia środkami filmowemi. Tkwi natomiast w „Zmartwychstaniu" ulubiony przez filmowców motyw, t. zw. „gehenna kobiety", a w dodatku przecież to Rosja, najbardziej egzotyczny, dla amerykanów, kraj! Jest tu także wielka, popisowa rola dla aktorki (Katiusza Masłowa), tem wdzięczniejsza do wygrania, gdyż o bardzo dużej rozpiętości środków wypowiedzi.

Trzeba przyznać, że wszystkie wersje zostały zrobione starannie i do filmów „puszczonych" zaliczyć żadnej nie można. Ośrodkiem każdej z nich jest rola Masłowej, książę Dymitry Niechludow trudniejszy był do zagrania: jeśli z typem lekkomyślnego oficera-uwodziciela specjalnie dobrani aktorzy dawali sobie radę, to nie każdy z nich czuł się dobrze w skórze nawróconego grzesznika, o ambicjach apostolsko-społecznych.

Tyle uwag ogólnych.

W „Katiuszy" Mamouliana, Tołstoja oczywiście niewiele, oprócz tego Mamoulian dodał kilka pomysłów od siebie. Zato Rosja jest tu oddana wierniej, artystyczniej i lepiej, niż ma to zwykle miejsce w amerykańskich filmach. Bodaj że obeszło się bez samowarów, „trójki" i t. p. (tylko chór cygański pozostał). Zaczyna się film siejbą w polu, co jest pomysłem udatnym, zwłaszcza gdy przypomnimy sobie, że było to ulubione zajęcie hrabiego—pisarza.

Wszystkie zalety filmu mieszczą się w zakresie doznań wizualnych i pod tym względem utwór Mamouliana stanowi prawdziwą rozkosz dla oczu. Co chwila przesuwają się przez ekran, znakomicie wkomponowane w jego prostokąt, fragmenty, ciągle mamy w jego polu prześlicznie i z wielkiem wyczuciem malarskiem skontrastowaną czerń i biel, na tle puszystych szarości. (Reżyser specjalnie w tym celu dobiera stroje i przedmioty: np. czarny szal i białą suknię, białe balaski balustrady i t. d.). Zaletą filmu jest także znakomita gra aktorki Anny Sten, z pochodzenia Rosjanki, w roli Kati Masłowej. Odtwarzała jej postać z daleko większem wyczuciem, niż niedawno graną „Nanę", według Zoli.

Stwierdziwszy w „Katiuszy" zagubienie Tołstoja (a może go wcale nie szukano?), trzeba się jeszcze zastanowić, jaką wartość dydaktyczną, dla szerokich mas, uczęszczających do kina, stanowi wobec tego treść filmu. Pomijając, niebardzo dziś aktualne, dosadności obrazu, wynikające z różnic socjalnych (książę i biedna wychowanica-służąca), pozostaje fakt krzywdy ludzkiej i zawsze pożyteczne przypomnienie o tem, iż sumienie nasze nie uznaje rachunków nieuregulowanych.

KANDYD

# ZMARLI

## Ś. P. PROF. WACŁAW SOBIESKI

ZMARŁ w Krakowie — dn. 3 b. m. — znakomity historyk, prof. Uniw. Jagiellońskiego, Wacław Sobieski. Na łamach „Myśli Narodowej", której Zmarły był współpracownikiem, niejednokrotnie omawialiśmy Jego zasługi naukowe. W najbliższym zeszycie zamieścimy na ten temat obszerny artykuł, który napisał jeden z najwybitniejszych uczniów i najbliższych współpracowników ś. p. prof. Sobieskiego, dr. Kazimierz Lepszy.

## Ś. P. DANIEL KONARZEWSKI

DNIA 3 b. m. zmarł ś. p. gen. Daniel Konarzewski, inspektor armji, jeden z najbardziej zasłużonych wodzów polskich z doby wojny o niepodległość w latach 1918—20.

Początkowo służył w armji rosyjskiej, od r. 1917 bierze udział w formowaniu pierwszego korpusu polskiego na wschodzie, gdzie dowodzi legją rycerską i brygadą strzelców. Po rozbrojeniu 1-go korpusu przez Niemców powraca do kraju. W styczniu 1919 roku organizuje 1 p. strzelców wielkopolskich, a w marcu tegoż roku mianowany zostaje dowódcą grupy operacyjnej wielkopolskiej, na której czele walczy w Małopolsce wschodniej. Na froncie bolszewickim dowodzi początkowo grupą operacyjną, w październiku 1919 r. 1 dyw. strzelców wielkopolskich i w tymże roku zostaje mianowany generałem podporucznikiem.

W r. 1920 wyróżnia się na czele swej dywizji w ciężkich walkach odwrotowych, a potem w zwycięskiej kontrofensywie po Cudzie Wisły.

Również po wojnie bierze czynny udział w organizacji armji, jako dowódca okręgu korpusu, I-szy wice-minister spraw wojskowych i t. d. Jemu też przypadł zaszczyt reprezentowania Polski — w charakterze ambasadora nadzwyczajnego — na pogrzebie króla belgijskiego Alberta I.

Ś. p. gen. Daniel Konarzewski był przykładem nietylko talentów militarnych, ale przedewszystkiem zwycięskiej siły polskiego instynktu narodowego. Urodzony w Petersburgu, wychowany w środowisku rosyjskiem, umiał— skoro chwila właściwa nadeszła — stanąć w szeregach armji narodowej i walczyć w nich — gdy zaszła potrzeba — po bohatersku.

## Ś. P. EMIL MŁYNARSKI

DNIA 5 b. m. — po kilkuletniej chorobie, — zmarł ś. p. Emil Młynarski, najznakomitszy kapelmistrz polski i wysoce zasłużony organizator życia muzycznego. Już przed wojną był kapelmistrzem opery warszawskiej, równocześnie usilnie pracując nad stworzeniem Filharmonji, gdzie następnie został jej pierwszym dyrektorem. Wkrótce potem został również dyrektorem Konserwatorjum.

Świetny okres jego działalności przypada na czasy powojenne, gdy — po paroletnim pobycie w Anglji i w Rosji— powraca do kraju, obejmuje stanowiska dyrektora Opery i Konserwatorjum, prowadzi wielkie koncerty symfoniczne w Filharmonji i t. d. Zasługi, jakie na tych stanowiskach położył dla pogłębienia kultury muzycznej w Polsce, są — w całem słowa znaczeniu — olbrzymie. Na kilka lat przed śmiercią powołany został na profesora w Curtiss Institute w Filadelfji, skąd jednak wkrótce, ciężko zapadłszy na zdrowiu, z powrotem przyjechał do Warszawy.

Ś. p. Emil Młynarski był również kompozytorem. Do najbardziej znanych jego dzieł należą: opera „Noc letnia" i poemat symfoniczny „Polonia".

## Ś. P. FRANCISZEK KSAWERY MEYER

DNIA 2 b. m. zmarł w Komorowie ś. p. dr. Franciszek Meyer, znakomity stomatolog. Oprócz praktyki lekarskiej brał czynny udział w życiu społeczno-politycznem, zwłaszcza w okresie przedwojennym, jako członek tajnej organizacji Młodzieży Narodowej (t. zw. Zetu), następnie zaś tajnej Ligi Narodowej, z której ramienia rozwinął pełną zasług działalność na polu oświaty ludowej.

Był człowiekiem niezwykle szlachetnym, otoczonym szacunkiem wszystkich, którzy go bliżej poznali.

Cześć Jego pamięci!

# SOBIESKI O PRZEPOWIEDNIACH HISTORYKA THIERSA

W FEJLETONIE „Kurjera Poznańskiego" (nr. 159) zamieszczono niezmiernie interesujący artykuł ś. p Wacława Sobieskiego, napisany na parę dni przed śmiercią p. t. „Przepowiednie i przewidywania". Mówi w nim o rozmaitych rodzajach wieszczenia i przepowiadania, ale zatrzymuje się dłużej na przepowiedni, opartej na głębokiej wiedzy historycznej. Bardzo na czasie pokazany został Adolf Thiers, znakomity mąż stanu, ale przedewszystkiem historyk, na czasie ze względu na mądrość, z jaką należy patrzeć na stosunek do Niemiec.

Adolf Thiers, z pochodzenia Marsylczyk, jednem szczególnie wyróżniał się wśród kolegów deputowanych. Wypowiadał przestrogi, które następnie okazywały się proroczemi. Stosownie do znanego powiedzenia, że trzeba *„savoir pour prevoir"*, Thiers miał ogromną wiedzę. Aby przewidywać przyszłość, trzeba znać przeszłość. Był to już wówczas sławny historyk, który wydał 30 tomów dzieł epokowych, wydał historję rewolucji francuskiej, a także dzieje konsulatu i cesarstwa, przeorał dzieje wewnętrzne i polityczne Europy ostatnich pokoleń (zaczynając od r. 1789).

Właśnie 3 maja 1863 r. wypowiedział mowę, która stała się wypadkiem dnia, poruszającym wszystkich. Na trybunie wyglądał dość niepozornie, wzrostu był tak małego, że zaledwie głowę jego widać było ponad poręczą, na oczach miał okulary, głos krzykliwy i cierpki. On jednak bynajmniej nie troszczy się o swe walory fizyczne, on czuje, że za chwilę wyrośnie, mówi wyraziście, z pewnością siebie niezakłóconą, z wielką werwą i temperamentem, z takim dowcipem i humorem, że budzi wciąż śmiechy na sali. Umiał już nieraz opanowywać większość i choćby go nienawidziła, musiała go słuchać.

Na wstępie rzucił parę słów krytyki przeciw romantycznej polityce cesarza, popierającej zasadę zjednoczenia narodów i wytknął, że polityka wahań i neutralności wobec rosnącej w oczach potęgi Berlina jest — nonsensem. Przepowiadając zbliżający się konflikt Prus i Austrji, zaczął jak Pytja od ostrożnego, warunkowego: jeżeli...

„Jeżeli wojnę wygrają Prusy, to zajmą niektóre księstwa północne, a z tych, których nie zajmą, utworzą związek pod swoją hegemonją. A więc będą miały część Niemiec pod pośrednim wpływem, a część pod bezpośrednią władzą, poczem dopuszczą do tego nowego porządku jakby z pretekcji i Austrję. I otóż nastąpi to, do czego od stulecia widocznie dążą: utworzy się nowe cesarstwo niemieckie (*„un nouvel empire germanique"*), cesarstwo Karola V, które dawniej gnieździło się w Wiedniu, a teraz będzie się gnieździć w Berlinie, które będzie sąsiadować z nami tuż przy naszej granicy, będzie na nią naciskać, napierać, i aby uzupełnić tę analogję, to cesarstwo Karola V, zamiast opierać się, jak w XV i XVI w. na Hiszpanji, opierać się będzie na Italji. Zjednoczenie Włoch samo przez się doprowadzi do zjednoczenia Niemiec, podadzą sobie ręce ponad Alpy i przez to zagrożą Francji bardzo poważnie. Milczeć wobec tak groźnego niebezpieczeństwa jest wielkim błędem, albowiem, jeśli Italja jest mi sympatyczna, to jednak jest mi coś droższego, aniżeli Italja, a to jest Francja, i to stokroć więcej".

Burzą oklasków nagrodzono tę mowę Thiersa, klaskano nawet na ławach bonapartystów, zarządzono niemal godzinę przerwy, aby zgromadzenie ochłonęło z emocji. Thiers-historyk przepowiedział tu słowo w słowo przyszłość. To jest, że Prusy zjednoczą Niemcy i będą biczem Francji. Jeśli chodzi o szczegóły, to przepowiedział: 1) zwycięstwo Prus pod Sadową 1866 r., 2) założenie północno-niemieckiego związku przez Prusy, 1867 r., 3) założenie cesarstwa niemieckiego przez Prusy w roku 1871, 4) zawarcie dwuprzymierza Prus i Austrji, 5) wreszcie trójprzymierza.

W mowie Thiersa brakowało tylko tego jeszcze, żeby wyraźnie dorzucił proroctwo, iż za pięć lat w samym Wersalu nastąpi uroczysta proklamacja króla pruskiego na cesarza niemieckiego. Byłoby to coś tak jaskrawego, jakgdyby kto w roku 1696, na elekcji króla polskiego zapowiedział, że za pięć lat (1701) doprowadzi ona do koronacji Hohenzollerna na króla pruskiego.

Już równo za dwa miesiące proroctwa Thiersa zaczynają się ziszczać. Trzeciego lipca 1866 r. Prusy kładą Austrję pod Sadową na obie łopatki. Thiers triumfował, ale nie bez goryczy napominał stronników cesarza: „Miejcie się na baczności, uważajcie, abyście nie popełnili jeszcze jednego błędu". Krytykując cesarską politykę Napoleona III, która popierała bezmyślnie i uporczywie hasło zjednoczenia narodów włoskiego i niemieckiego, zapominając o interesach samej Francji, nawoływał: „Jesteśmy tutaj raz Włochami, drugi raz Niemcami, ale nigdy nie jesteśmy Francuzami".

Choć krytykował politykę cesarza, to jednak z całym naciskiem popierał jego plan powiększenia armji, zwalczając opozycję, która żądania wojskowe odrzucała. Chciał bowiem, by Francja do wojny była gotowa. Gdy za cztery lata nie była jeszcze uzbrojona, a tłum, rozdrażniony chytrą „emską" depeszą Bismarcka, krzyczał po ulicach *„A Berlin! A Berlin!"*, on śmiało przeciwstawił się masom i pragnąc zażegnać klęskę, zażądał, aby wypowiedzenie wojny odroczyć. Przez wypowiedzenie rozważnej mowy naraził się opinji, spełnił jednak, jak później zaznaczył, najcięższy w swem życiu obowiązek; „to było ponowne jego jasnowidzenie, pełne odwagi, wznoszące się ku szczytom niemal genjuszu" (Hanotaux).

Lud nie lubi przykrych augurów, większość nakazała Thiersowi wówczas milczenie, przeklinano go, zwąc „antypatrjotyczną trąbą klęski", co więcej, tłumy ruszyły na jego dom na ulicę S. George, aby urządzić mu wrogie demonstracje. „Nigdy przepaść między ślepotą a rozumem nie była tak bezdenna, jak wówczas".

WACŁAW SOBIESKI

# NA MARGINESIE

W pisemku sanacyjnym „Problemy" (nr. 7) wielkiemi literami przez całą stronę wypisano: „Sobieskiego do Berezy!" Tak publicyści niepodległej Polski (pp. Borkowski, Bocheński, Pruszyński) dyrygują robotami nad ustaleniem nowej hierarchji społeczeństwa. Chodziło o co? Usunąć z katedry Sobieskiego, a wprowadzić na katedrę — Feldmana. Wtedy prawda historyczna będzie miała panowanie zapewnione.

Są w Polsce historycy: Pobóg-Malinowski, Kawałkowski, Górka... Sobieski mógł tedy ze spokojem posterunek im zostawić, tymczasem wolał całkiem się usunąć ze świata, aby ich nie czytać.

Dlaczego jednak gorliwcy piszą tyle o rzekomym błędzie Sobieskiego w ocenie r. 1920, kiedy wiedzą dobrze, że dowcip „Sobieski do Berezy" jest żydowski.

Co wy z Polską robicie — ludzie załgani!

*

W jednem z gimnazjów nauczyciel historji dał wychowańcom swym spis t. zw. lektury zaleconej, t. zn. książek, których przeczytanie nie jest coprawda dla uczniów obowiązkowe, lecz w każdym razie uznaje się za dowód pilności, zamiłowania do studjów i t. d.

Tych zaleconych książek z zakresu historji wymieniono sześć: czterech z nich autorem jest prof. Szymon Askenazy, dwu pozostałych — prof. Marceli Handelsmann.

Autentyczne!...

---

ERRATA: W artykule „Wspomnienie o poecie", pióra St. Miłaszewskiego, zamieszczonym w poprzednim zeszycie „Myśli Narodowej", omyłkowo opuszczone zostało zdanie, stwierdzające, iż cytowany wiersz o „Zwiastowaniu" jest poetycką adaptacją utworu pod tymże tytułem, napisanego przez R. M. Rilkego.

TREŚĆ:



Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM